

Dekada Literacka

Kraków ■ 16 — 31 VII 1992 r. ■ Dwutygodnik ■ Nr 14 (50) ■ Cena 2000 zł

Rozmowa z Grynbergiem ● Przekłady Miłosza ● Powieść Korczaka o Janie Karskim
● Gawliński o prozie Chciuka ● Baluch o Pradze polskich poetów ●

ZYGMUNT NOWAKOWSKI — REJTAN EMIGRACJI

Stanisław Stawomir Nicieja

W 1939 r. Zygmunt Nowakowski zbliżał się do pięćdziesiątki (48 lat), gdy wybuch wojny rozbił jego świat budowany w wielkim mozole przez wiele lat. Był w tym czasie postacią powszechnie znaną w kraju jako wybitny felietonista krakowskiego „IKCa”, porównywany z Prusem i Boyem. Co roku ukazywał się tom jego felietonów „Z mojej pralni”, „Książka zażaleń”, „Stawiam banki” itd. Jego widowisko legionowe „Gałązka rozmarynu” święciło tirumfy na scenach Warszawy, Krakowa, Lwowa, Katowic, Łodzi, Torunia. Był autorem poczytnych powieści, z których „Przylądek Dobrej Nadziei” doczekał się 15 wydań i przekładów na 6 języków. Znano go również jako dobrego aktora i niekonwencjonalnego reżysera teatralnego. To wszystko dało mu podstawy solidnej stabilizacji materialnej.

Mieszkał, otoczony nimbem popularności, z poczuciem zadowolenia i lite-

rackiego spełnienia, w swoim ukochanym Krakowie w willi „Pod Rozmarynem” na ulicy Słonecznej.

Wojna wypędziła Nowakowskiego wraz z tysiącami uciekinierów na zatłoczone szlaki wiodące na wschód. Wraz z profesorem Stanisławem Kotem dotarli do Lwowa, by tam zobaczyć w zupełnej konsternacji inwazję rosyjską. Wprowadziło go to w stan depresji psychicznej „Kto widział pochód czerwonych złodziei przez centrum Lwowa — pisał później — kto widział nasze wojsko, stojące z białymi chorągiewkami w bocznych uliczkach, na długo zapomniał co to śmiech i radość”.

Miasto, zmienione w potężne zbiegowisko inteligencji z całej Polski, robiło przygnębiające wrażenie. Rósł terror psychiczny. Dla autora Gałązki rozmarynu, chwalecy czynu legionowego, oficera, perspektywą mogła być we Lwowie tylko cela więzienna na Łąckiego bądź w Brygidkach, a w dalszym planie las katyński.

stnieje opinia, iż to Nowakowski naklonił Sikorskiego do wyjazdu ze Lwowa do Paryża. W październiku 1939 r. rozpoczął namawiać Boya-Zeleńskiego na wspólną przeprawę do Francji, gdzie Sikorski kończył już formowanie rządu. „Chodźmy razem — mówił do Boya. Kto jak kto, ale pan jest w Paryżu potrzebny, pan z pańskim nazwiskiem, z pańskimi stosun-

kami (...) Pójdziemy w towarzystwie młodych, silnych ludzi, którzy będą nieść nasze rzeczy. «Nie mam nic do niesienia» — odparł Boy». Machnął ręką, potrząsnął głową. Siedział osowiały, ponury, stawał pasjanse. „Następnego dnia — wspominał Nowakowski — osirzegl mnie jakiś dziennikarz Ukrainiec, bym na noc nie wracał do domu. Zaszedłem jeszcze do Boya po raz ostatni. Mówię mu, że wczes rano, jeszcze po ciemku, ruszamy na Stryj, Bolechów, Dolinę, potem na Ludwikówkę aż do jakiejś Osmondy, a tam już granica, stamtąd jeden krok i już jesteśmy na Węgrzech. Boy stawał pasjanse, zgarbiony, apatyczny, obojętny na wszystko. Na stoliku leżał otwarty podręcznik nauki języka rosyjskiego. Wyczerpał wszystkie argumenty umilkłem”.

W styczniu 1940 r. Nowakowski był już w Paryżu, gdzie wszedł w skład pierwszej emigracyjnej Rady Narodowej. Na jej forum — jak twierdził Cat-Mackiewicz — czarował znakomitymi aktorsko monologami zdobionymi kalamburami. Nominalnie pełnił też funkcję redaktora „Wiadomości Polskich”, ale pismo było właściwie dziełem Mieczysława Grydzewskiego.

Kapitulacja Francji rzuciła Nowakowskiego do Wielkiej Brytanii. Osiadł wówczas, jak się okazało już na stałe, w Londynie i tam stał się publicystą

politycznym. Tadeusz Klepiński, przedwojenny redaktor „Polonii” Korfante-go, współtwórca polityki propagandowej Sikorskiego, tak go charakteryzował: „Nie wolno nam zapomnieć, że jest to aktor, który wyczuwa świetnie nastroje publiczności i wie, w którym miejscu zagrawszy dobrze rolę dostanie oklaski. Dlatego też (...) artykuły Nowakowskiego i reakcja na nie są bardzo znamiennym barometrem nastrojów”.

Kazimierz Wierzyński uznał nawet Nowakowskiego „za herolda całych odłamów emigracji” umiejającego uderzać w tony ogólnonarodowe. „Sprawiedliwość wymaga — pisał Wierzyński — by zaznaczyć, że temperamentowi tego gorącego patrioty znacznie bardziej odpowiada postawa polemiczna niż jakakolwiek tma, niemniej kilka jego wystąpień stało się głosem sumienia naszych czasów”.

W lecie 1941 r. po podpisaniu umowy Sikorski—Majski począł narastać konflikt między czołową publicystów „Wiadomości Polskich” (Nowakowski, Pragier, Zahorska, Stroński, Günter) a rządem. Najbardziej bezkompromisowym, nie uznającym porozumienia z Rosjanami, był Nowakowski. Jego publicystyka tak mocno drażniła radzieckie MSZ, że nie pozwolono mu jako

(CD. NA STR. 4)

ŚWIAT KSIĄŻEK

Andrzej Braun



Świat książek, czyli świat wyobraźni albo świat pamięci... Pierwsze moje lektury (Książeczki? Teksty zasłyszane? Wyuczone jak pacierz?), które mogły dziś poprzez otchłań dziecięcioci przywołać z dzieciństwa, to są wierszyki — nie wiem, czy już czytane samodzielnie, czy też słyszane z ust mamy. Zaczęłam wprawdzie czytać wcześniej, bo już gdzieś w piątym roku życia, ale teksty te zawsze kojarzyły mi się

z książeczką, często z ilustracjami. Więc najpierw chyba były bajeczki wierszowane. Pamiętam taką o świnku-lakomczuszku, nie pomnę czyjego autorstwa. Swinek ten pomagał nakrywać do stołu, gnębiony pokusami: „Pokosztował, bardzo smacznie / cóż, że ja jeść pierwszy zacznę. / Więc widelec wziął i nóż / szybko wszystko zjadł i już”. Albo „Rymy dziecięce” pani IŁŁAKOWICZ: „Prosię / / przebrało się / i poszło spacerować po wieczornej rosie...”. Taki to był światek prosięcy, który po latach, podczas lektur „Kubusia Puchatka” odżył w osobie Prosiaczka.

O, cudowny okresie przyjaźni ze zwierzętami, kiedy czułem się tak bardzo częścią przyrody. O, cudowny dziecięcy panteizm. Książeczki o zwierzętach należały do najwznieśszych: cykl pana GRABOWSKIEGO — *Reksio i Pucek, Puc, Bursztyn i goście, Europa (kocica)*. Nic nie wiem o tym panu, a tym bardziej on nie wie nic o mnie, był jednak moim pierwszym przyjacielem z wyboru. Każdy autor gdzieś tam posiada takich nie znanych

mu przyjaciół i to stanowi sens życia pisarza.

Książki o zwierzętach były coraz bardziej wyrafinowane: Takie sobie bajeczki KIPLINGA (ów „dziki kot z dzikim ogonem”, „chadzający własnymi drogami”, czy owo westchnienie: „To za s-s-siężko dla malutkiego stonia...”), stały się mými formułami na długie lata) czy też pana EDGARA BURROUGHSA *Przygody Tarzana wśród małp*, przemieniały się w coraz trudniejsze lektury — w *Zew krwi* i *Biały kiel* JACKA LONDONA, czy tegoż Kiplinga *Księgę dżungli*. Kiedy je dziś tu wspominam, chciałbym hołd złożyć zapomnianym wspaniałym tłumaczom, STANISŁAWIE KUSZELEWSKIEJ i FRANCISZKOWI MIRANDOLI, bo to ich słowami i rymami żyją one w mojej pamięci.

Z tych pierwszych lektur dziecięcych żywo pamiętam KONOPNICKĄ z sierotką Marysią, krasnalam i Półpankiem, a także inną jej książeczkę *Na jagody*. Gdy poszedłem do szkoły ciekawiły mnie *Przygody Plastusia* pani MARII KOWNACKIEJ oraz COLLODIEGO *Pinokia*. Natomiast odkładałem na bok KORNELA MAKUSZYŃSKIEGO, którym bywałem obdarowywany, a który mi się wydawał nazbyt sentymentalny i cikliwy. Wyjątkiem był, o dziwo, Ko-

ziołek *Matolek*, którego dopuszczaliśmy do ekskluzywnego kręgu mojej wyobraźni. Trudno mi było dociec przyczyn, dlaczego tak było. Pewne książeczki, które ze względu na wątek fabularny, powinny mi być się podobać, odpychały mnie jako niestrawne. Przypuszczam, iż chodziło nie o to CO, lecz JAK zostało opowiedziane. A więc o styl. Ponieważ byłem wówczas odbiorcą czystym, nie skażonym — nie chodziło zatem o rangę artystyczną (nie miałem jeszcze skali porównawczej, ocen wpojonych czy sprawdzonych) — dotyczyło to raczej klimatu książki, czyli ukrytej za tym osobowości autora. Odbierałem to chyba instynktownie, tak jak dziecko pewne potrawy, duchowe w tym wypadku. I w tych gustach niejako odkrywałem siebie, określałem się przez porównanie. Taką funkcję spełniały lektury w kształtowaniu indywidualności.

Innym kręgiem lektur dla chłopczyka takiego jak ja były książki o podróżach. Było to więcej niż bajki, bo miało gdzieś ukryty grunt realny. Karmiły i tak już bujną wyobraźnię, a jednocześnie kontaktowały ze skrytym we mnie pierwiastkiem realizmu. Raz jedno, raz drugie brało górę, choć w dzieciństwie świat wyobraźni dominował. A więc JULESA VERNE’A owa po-

(CD. NA STR. 11)

Szeptem z Toronto

Wacław Iwaniuk

Mozna spokojnie usiąść i rozmyślać nad banalnością mijanego dnia lub pędzony wypadkami historycznymi, wiać się w chór głosów dla samej potrzeby mówienia, czy ktoś nas słyszy czy nie. Bo czasy są historyczne lub omalże historyczne, zaś demokracja w kraju rozpełtała języki, dotychczas krępowane cenzurą. Na emigracji życie płynęło z prądem politycznym, na literaturę nikt nie zwracał uwagi, a tych kilku, którzy dorwali się do pióra i liźnęli sławy, emigracja właściwie nie słyszała lub, z takich czy innych powodów, nie chciała słyszeć. Miała zresztą ku temu powody, może krótkowzroczne, ale słuszne, nie zrozumiała GOMBROWICZA i nie chciała zauważyć Miłosza, zresztą bez szkody dla nich obu, bo Gombrowicz dzięki talentowi stał się światową sławą, MIŁOSZ też dorobił się Nobla, dzięki zapobiegliwości jego samego i redaktora GIEDROYCIA. Patrząc jednak dziś wstecz, z ręką na sercu muszę powiedzieć, że ani Gombrowicza, ani Miłosza nie uważam za pisarzy emigracyjnych. Nie jest nim KOLAKOWSKI, a tym bardziej grupa pisarzy skupiona przy „Zeszytach Literackich” z BARAN-CZAKIEM na czele. Ze oni uważają się za takich, to jeszcze nie wystarcza, zwłaszcza iż ideologia powstała po drugiej wojnie światowej wokół polskiej emigracji była w oczach Zachodu historycznie usprawiedliwiona i ideowo jedyna. Nie mam zamiaru kruszyć tu kopii, kto kim jest i dlaczego? Robią to hurtem i nagminnie powołani i niepowołani krajowi krytycy, zwłaszcza ci, których debiutanckie książeczki pachną jeszcze drukarską farbą. Wiedzą oni lepiej, jak i czy należy afirmować HERBERTA, twórczość ROZEWICZA i czy Miłosz już się skończył, czy jeszcze nie.

Chwała Bóg, emigracja nie ma tych kłopotów, ma piszących, ale nie ma emigracyjnej literatury, miała jedno literackie pismo, „Wiadomości” londyńskie, było to jednak prywatne przedsięwzięcie genialnego redaktora GRYDZEWSKIEGO, skupiające indywidualne talenty z nadrzędnym celem zwalczania okupacji komunistycznej w kraju. I gdyby Grydzewski żył, on miałby prawo przyznawać cenzus pisarza emigracyjnego. Gwoli sprawiedliwości dodałbym mu do pomocy JOZEFĄ CZAPSKIEGO, STERANIĘ KOSSOWSKĄ, JULIUSZA SAKOWSKIEGO, EDWARDA RACZYŃSKIEGO, TADEUSZA NO-

WAKOWSKIEGO, JANA FRYLINGA, JOZEFĄ LOBODOWSKIEGO i kilku jeszcze innych. Oto grono sędziów, które mogłoby decydować, kto był i jest pisarzem emigracyjnym.

Czy krajowi krytycy mają do tego prawo? Przypuszczam, że nie, robią to prawem kaduka, bo przecież z czegoś muszą żyć i o czymś pisać, a ostatnio emigracja jest popularna. Tak więc toczą się dyskusje i ukazują książki. Ci, pobożniejsi od papieża, wytypowali sobie nawet rasowe koniki, mają do dyspozycji ujeżdżalnie prywatne lub półprywatne, bo każda klika, każda grupa, każde „pokolenie” musi mieć własne pismo z własnym krytykiem, własnym debiutantom, własne cacy cacy, oprómiennie zagraniczną nagrodą, zagranicznym przekładem, zagranicznym wyróżnieniem lub zaproszeniem na dolarowy kurs demokracji na uniwersytecie w Iowa. Ilu krajowych pisarzy przeszło go, trudno dziś zliczyć; a ilu emigracyjnych? — żaden. A przecież Amerykanie byli po naszej stronie, popierali emigrację z całym jej politycznym, ideowym, konstytucyjnym, kulturalnym bagażem, w Iowa starali się łowić zbłąkane dusze, tylko niestety sieć była zbyt dziurawa, zaś dusze „mądrzejsze” od rybaka.

I tu chyba należy szukać sedna sprawy. O nas, pisarzach emigracyjnych decydowały sprawy, na które żaden pisarz w historii dawnej i współczesnej nie mógł się powołać, od Owidiusza po Tomasza Manna. Za nami stały atrybuty, na które nawet pisarz w kraju nie mógł się powołać, ogólnie mówiąc konstytucyjny legalizm, czyli uznany rząd, instytucje społeczne i partie polityczne, organizacje kulturalne, armia, ministerstwa, słowem — cały ustrój wolnego, demokratycznego państwa był na emigracji, a nie w kraju. Doskonale wiem, że ani Gombrowicz, a tym bardziej Miłosz nie korzystali z tych przywilejów, nie korzystał chyba Kłakowski i plejada literatów, która nagle znalazła się po tej stronie barykad. Dziś często się mówi o tym z przekąsem, ironizując lub bagatelizując zagadnienie, ale pisarze związani uczuciowo z krajem wolnym i samostanowiącym nie mogli zgodzić się na niewolę sowiecką i utratę praworządności i chyba ten moment decyduje w ocenie, kto jest pisarzem emigracyjnym, bo wtedy, gdy Polska traciła wolność, najpierw obowiązywał mundur, a potem

zaangażowanie się polityczne. Ale nie pióro pisarza elitarnego.

Zejdźmy teraz na nasze torontońskie podwórko, gdzie się dzieją też ważne sprawy, do tego związane z Krakowem. Ze o nich głucho w historii i wśród czytelników krajowych, to już nie nasza sprawa. Działalność Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie, organizacji zatwierdzonej i popieranej przez kanadyjskie czynniki rządowe, powstałej ponad dziesięć lat temu, postawiła sobie za cel wydawanie książek pisarzy polskich na emigracji, w języku polskim, których cenzura w kraju tepiała. Trzeba powiedzieć, że urzędnicy kanadyjscy w Ottawie zrozumieli nasz cel, a nawet oficjalnie poparli finansowo, natomiast ani organizacje polskie w Kanadzie, ani żadne fundacje, ba, ani nawet paryska „Kultura”, gdzie chcieliśmy zamieścić płatne ogłoszenie, nie poparła naszego wysiłku, krótkowzroczny Giedroyć bał się prawdopodobnie konkurencji, choć on dysponował międzynarodowym kapitałem, gdy my składkami z własnych kieszeni. Nic więc dziwnego, że książki Funduszu Wydawniczego nie cieszyły się uznaniem autora Kroniki Kanadyjskiej w „Kulturze”, mimo iż kilku z nich zamieszczało swoje utwory na łamach paryskiego miesięcznika, jak Łobodowski, CHCIUK, JURKSZUS-TOMASZEWSKA, SMIEJA czy niżej podpisany. Działalność Funduszu Wydawniczego w Toronto dla korespondenta paryskiego „Kultury” P. Heydenkorna, nie istniała.

Właśnie w programie wydawniczym Funduszu, jako pozycja dziesiąta ukazał się w roku 1987 piecizolowicie opracowany *Pamiętnik z getta w Krakowie* HALINY NELKEN, historyka sztuki z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dokument ten, treści około 400 stron, zawiera zapiski prowadzone na gorąco młodej krakowskiej dziewczyny, którą los rzucił w piekło hitlerowskich obozów. Książkę urozmaicają oryginalne dokumenty, fotografie i plany oraz poprzedza wyjątkowo piękny wstęp, mówiący z pietyzmem o Krakowie i jego mieszkańcach.

Mam w ręku nową pracę Haliny Nelken, ale już jako historyka sztuki, wydaną w języku angielskim w Oksfordzie: *Images of a Lost World, Jewish Motifs in Polish Paintings, 1770—1945*. Tu Nelken fascynuje

nas nie tylko znajomością przedmiotu, kolorowych reprodukcji obrazów, fotografii, rysunków i szkiców, często dla przeciętnego historyka sztuki nie znanych. Podziwia odszukanie ich, graniczące chyba z poświęceniem, by w dziesięciu okolicznościach, jak wiemy wyjątkowo ciężkich, dotrzeć do skarbow, ukrywanych po piwnicach, szufladach, w prywatnych zbiorach już nie tylko dzieł sztuki, ale i ważnych dla sztuki historycznych dokumentów. Już nie tylko zawodowa perfekcja, ale miłość do samego tematu, mówią o pionierskiej pracy historyka, album Nelken winien się znaleźć nie tylko w rękach miłośników sztuki i na półkach bibliotek, ale i polityków, należy tu wyrazić nadzieję, że im wcześniej ukaże się jego polska wersja, tym temat omawiany przez Autorkę stanie się dla nas bliższy i chyba rodzinny.

W albumie Haliny Nelken spotkałem nazwisko NATANA GROSSA, wybitnego krakowianina, z którym od lat wiążą mnie słowa przyjaźni i bezustannej wymiany zdań. Gross ma swoją zasłużoną kartę w literaturze i kulturze polskiej i byłoby grzechem, gdybym nie odnotował na tym miejscu wydanych w tym roku w Wydawnictwie Literackim jego wspomnień: *Kim pan jest, panie Grymek?*, napisanych pasjonującym stylem z malarską plastyką słowa, dowodzącą iż jej Autor to narrator „z bożej łaski”, któremu krytyka przyzna zasłużone miejsce w naszej literaturze.

W rozmowie z Krzysztofem Lisowskim odnotowanej w numerze 27 „Dekady Literackiej”, mówiąc o moich zamiłowaniach sztuką, wspominałem o osiągnięciach emigracyjnego artysty ADAMA KOSSOWSKIEGO. Z radością należy odnotować wydany właśnie w języku angielskim przez firmę Armelle Press w Londynie album: *Adam Kossowski, Murals and Paintings*, ze wstępem angielskiego historyka sztuki, BENEDYKTA READA i profesora TADEUSZA CHRZANOWSKIEGO, uzupełnionym artykułem TYMONA TERLECKIEGO i ojca MARTINA SANKEY z Zakonu Karmelitów. Strona graficzna, druk oraz artystycznie zamieszczonych reprodukcji zaspokoja z całą pewnością smak każdego bibliofila. Album uzupełniają dwie cenne pozycje: „Dziennik Żołnierza”, notatki i rysunki robione w Sowietach, po aresztowaniu przez NKWD, obozowe sceny szkicowane na gorąco, niesamowite w swej dantejskiej wyrazistości oraz sporządzony przez ANDRZEJA BORKOWSKIEGO katalog prac artysty, znajdujących się w kraju i na emigracji wraz z danymi biograficznymi Kossowskiego, które w przyszłości dla studentów sztuki i profesorów będą cennym źródłem.

Co nowego w prasie?

Nad polskim samopoczuciem i samooceną zastanawia się Jerzy Jarzębski w 5 n-rze ODRY, wykorzystując przede wszystkim świadectwo literatury. Autor rozpoczyna swe uwagi od końca XVIII w., kiedy to w szoku porzobiorowym narodziły się dwie wizje polskiego losu: samokrytyczna wizja grzesznego narodu pokutującego za dawne winy oraz mit „Polski — Chrystusa narodów”, Polski — przykładu i natchnienia dla Europy. Obie te wizje współistniały ze sobą przez cały okres niewoli, odżyły podczas II wojny, dają o sobie znać także w ostatnich latach. Normalne życie w okresie międzywojennym spowodowało niejako równowagę i umiarkowanie wszystkich możliwych wizji „polskości”. Z jednej strony mobilizują się nacjonalistyczne swymi katolicko-konserwatywnymi ideałami, z drugiej lewica przypuszcza atak na drogi dotąd Polakom stereotyp szlachecko-rycerza-powstańca. Ten drugi nurt stał się dominujący, a

nawet obowiązujący po wojnie — i to nie wyłącznie z nakazu reżimowej propagandy. Dużą część inteligencji dręczył kompleks winy, ponadto bliskie były jej poglądy lewicowe w tym sensie, że autentycznie nie lubiła nacjonalizmu, bogoojęzyźnianej frazeologii i szlacheckich tradycji. Z czasem jednak poczucie zniewolenia znów wywoływało wiarę Polaków w ich wartości moralne, a także w wyższość kulturalną wobec sąsiadów, zwłaszcza Rosjan. Niemniej jednak rozluźnienie ucisku po r. 1956 przyniosło natychmiast nawrót postawy krytycznej wobec stereotypu tradycyjnego Polaka. W literaturze i sztuce ujawnił się silny i trwały „nurt prześmiewczy”, kreujący krytyczny i często szyderczy obraz rodaków oraz przedstawiający społeczeństwo w stanie ostryego kryzysu, demoralizacji, społeczeństwo o zniszczonej strukturze wartości i hierarchii.

Szkoda może, iż Jarzębski całkowicie pominał fakt tę-

pienia „nurtu prześmiewczego” przez oficjalną politykę kulturalną władz. Inspirowane ataki prasowe, pouczenia ze strony dygnitarzy i represje cenzury nasilały się zwłaszcza w okresach walk wewnętrznych w partii, stanowiąc ulubiony instrument frakcji nacjonalistycznej, która chętnie posługiwała się pseudopatriotyczną retoryką. Zjawisko to wystąpiło szczególnie ostro w 1968 r.

W wyniku działalności propagandowej i kadrowej PRL — konkluduje Jarzębski — społeczeństwo straciło generalnie zaufanie do elit, do oficjalnie kolportowanych systemów wartości i wzorów osobowych. Polak II połowy XX w. cierpiał na chorobę sierocą i sam się nieźbyt lubił. *Thumaczy to niebyswała euforia, z jaką spotkał się wybór Karola Wojtyły na papieża: w jego osobie pojawił się po dziesięcioleciach pierwszy autorytet niepodejrzewany.*

Ze szkicem Jarzębskiego koresponduje artykuł Marcina Kull o „Bożym igrzysku”, N. Daviesa — dwutomowej historii Polski, która stała się bestsellerem wyd. Znak (TWÓRCZOŚĆ nr 6). Z jej ukazaniem się — pisze Kull — zmieniła się sytuacja polskiej historiografii. Dotychczas liczące się prace o dziejach Polski zamykały się w przemożnym stopniu w kręgu polskiej kultury. Były one lepsze czy gorsze, ale wielkiej konkurencji nie miały. Teraz już mają i to taką, którą reprezentuje w wielu sprawach przewagę. Autor artykułu skupia uwagę zwłaszcza

na tych elementach dzieła Daviesa, które ukazują losy Polski na tle historii innych narodów, a także tych, które idą pod włos częstych w Polsce nastawień wobec przeszłości.

ści. Kwintesencja szkicu zawiera się w jego tytule: „Dobrze, że zostało napisane — szkoda, że nie przez nas”.

J.L.

VIII KONKURS LITERACKI im. J. I. KRASZEWSKIEGO

● Konkurs ma charakter otwarty (mogą brać w nim udział amatorzy oraz członkowie profesjonalnych stowarzyszeń twórczych).

● Przewiduje się przyznanie nagrody Grand Prix oraz nagród w dziedzinie poezji i prozy.

● W związku z jubileuszem 10-lecia Podlaskiego Klubu Literackiego „Maksyma” będą przyznane nagrody dla autorów zestawów fraszek i aforyzmów.

● Przewiduje się też nagrody specjalne za tematykę podlaską oraz za utwory związane z J. I. Kraszewskim.

● Teksty nadesłane na konkurs nie będą zwracane.

● Teksty konkursowe mogą być zamieszczone w publikacjach organizatorów bez dodatkowego wynagrodzenia.

● Na konkurs należy nadsyłać zestawy 3—5 wierszy w 4 egzemplarzach maszynopisu, opowiadania do 20 stron maszynopisu również w 4 egzemplarzach lub zestaw 10—30 fraszek bądź aforyzmów.

● Do każdej pracy opatrzonej godłem (pseudonimem) należy dołączyć zaklejoną kopertę z tymże godłem na zewnątrz, w której powinny znaleźć się dane o autorze (imię i nazwisko, dokładny adres, przynależność do klubów i stowarzyszeń literackich).

● Prace konkursowe należy przysyłać do dnia 31 sierpnia 1992 r. pod adresem:

KLUB KULTURY „PIAST”
Podlaski Klub Literacki „Maksyma”
ul. Spółdzielcza 4
21-500 Biała Podlaska

z dopiskiem „Konkurs im. J. I. Kraszewskiego”

● Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w październiku 1992 r. podczas VIII Podlaskich Spotkań Literackich.

2 Dekada Literacka

W trzech krajach jednocześnie...

Z HENRYKIEM GRYNBERGIEM rozmawia Marta Wyka

● Jest Pan laureatem nagrody Kościelskich, nagrody londyńskich „Wiadomości”, nagrody Jurzykowskiego, teraz nagrody Vincenza, a więc tych wszystkich najbardziej liczących się, najbardziej prestiżowych nagród literackich. Jednocześnie nie można powiedzieć, żeby Pan był pisarzem znanym szerszej publiczności, czytającej. Jest Pan pisarzem „śle obecnym”, tzn. Pan jak gdyby nie ze swojej winy nie znalazł się w kontekstach literatury współczesnej. Tym niemniej chciałabym Pana zapytać, czy, przebywając od dwudziestu paru lat na emigracji poczuwa się Pan do jakiejś wspólnoty ze swoimi mniej więcej rówieśnikami pokoleniowymi, a mam na myśli chyba Hłaskę, chyba Marka Nowakowskiego, bo to jest mniej więcej ta sama formacja pokoleniowa, a więc podobne doświadczenie w PRL-u. Słowem: czy Pan się jakoś postrzeżę wobec nich, czy też uważa się za kogoś zupełnie wyosobnionego z tego kontekstu?

— Oczywiście, poczuwam się do pewnej wspólnoty, chociaż jestem trochę młodszy od Hłaski i nawet od Marka Nowakowskiego. Hłasko był dla mnie czymś w rodzaju wzorca. Ja znacznie później debiutowałem. On bardzo wczesnie debiutował i wszyscy wtedy uczyliśmy się od Hłaski albo ulegalismy jego przemożnemu wpływowi. Najprawdopodobniej w moich początkowych opowiadaniach ten wpływ da się zauważyć. Później się uwolniłem, dlatego że mój głos jest inny, chociażby ze względu na temat. Gdybym, na przykład nie był Żydem, to kto wie, może poszedłbym tą samą drogą co Hłasko i Nowakowski i może interesowałbym się przede wszystkim tymi sprawami i mielibyśmy znacznie więcej wspólnego.

● Czyli takim tematem peryferyjnym jak u Nowakowskiego i u Hłaski?

— To było wtedy dysydenckim tematem.

● Pan zresztą Hłaskę często wspomina, dedykuje mu Pan swoje wiersze, wspomina w swoich tekstach, objął Pan po nim posiadłość w Ameryce.

— Tak, owszem. Zwolniła się posada po jednym pisarzu i dano ją drugiemu. W zakładach metalowych przy cieciu blachy. Majstrem był tam były oficer Polskiej Marynarki Wojennej Kazimierz Wnorowski. On zadzwonił do mnie i powiedział, że zwolniła się właśnie posada po śmierci Hłaski.

● Jestem wielbiczką Pana szuki pisarskiej i teraz chciałabym, żebyśmy może parę słów o tej sztuce pisarskiej, jeśli wolno, wymienili między sobą. W opowiadaniu „Buszujący po drogach”, bohater tego opowiadania mówiący o sobie, ja go oczywiście nie identyfikuję z Panem koniecznie, powiada, że ktoś zwracał się do niego nazwiskiem: brzmi ono „Pan Narrator”, czyli „Pan opowiadający, Pan opowiadacz”. Z tego wynika, że Pan bardzo lubi sztukę opowiadania i lubi zmieniać rolę w opowiadaniu. Jak to jest? Ta zmiana ról mnie bardzo interesuje.

— Może dlatego, że mnie interesuje bardziej język ustny niż książkowy i moje opowiadania, jeśli nie są monologami, brzmią tak jak rozmowa albo jak opowiadanie komuś żywemu, słuchaczowi, albo jak rodzaj monodramu. Bierze się to i również z mojego zamiłowania do teatru. Pracowałem w teatrze dosyć długo, lubię bardzo żywy język w moich utworach. W opowiadaniu *Buszujący po drogach* po prostu chodziło mi o kwestię, czy zawsze autor jest narratorem, czy nie zawsze. W tym wypadku chciałem podkreślić, że autor i narrator to nie jest to samo.

● Jakie były kłopoty z cenzurą? Pan je opisał. Ale nie wszyscy o tym wiedzą. To opowiadanie stało się bezpośrednio przyczyną tego, że Pan zdecydował się nie wracać do Polski.

— Opowiadanie nazywało się w oryginale *Buszujący w Niemczech*, ale zgadzam się, że *Buszujący po drogach* może być nawet lepszym tytułem. Zmienił mi tytuł, usunęło parę fragmentów, uzupełniono zdania, kiedy po usunięciu czegoś za wiele by zostawało w zawieszaniu. Decydującym dla mnie momentem, który mnie pchnął do ucieczki — nazwę to ucieczką, bo nie była to normalna emigracja — było usunięcie fragmentu, jednego albo paru, które naprawdę dotyczyły sedna losu żydowskiego po wojnie, po zagładzie, albo w wyniku zagłady. I pomyślałem sobie, że jeśli nie wolno mi o tym pisać, to pisarstwo nie ma żadnego sensu dla mnie. I jeśli mam nie być pisarzem w Polsce, to wołaj nim nie być w Ameryce.

● A co było tematem tych fragmentów, może Pan powiedzieć?

— Usunięto np. taki fragment, gdzie jest opisywany rodzaj napadu partyzancko-bandyckiego w małym miasteczku u schyłku wojny, po wyzwoleniu spod okupacji hitlerowskiej. Wyzwolenie jest umownym słowem — dla mnie to jednak było wyzwolenie. I w czasie tego napadu napastnicy udali się do żydowskiej rodziny, nie zastali ich na szczęście w mieszkaniu. Porozbijali co było do rozbicia, szukali pieniędzy. Nie wiem, czy zrabowali pieniądze, czy nie. I refleksja jest taka: że przecież nie tylko Frydowie mieli pieniądze w miasteczku, ale oni właśnie pobiegli do Frydów, bo Frydowie byli Żydami, a jak Żyd ma pieniądze, to każdy myśli, że ma prawo mu je odebrać. Frydowie myśleli, że po tym co przeżyli i ocalili prawie sami z całego miasteczka, może ich sąsiedzi w miasteczku będą się cieszyli z tego, że Frydowie żyją, może będą im współczuli czy coś w tym rodzaju, a oni właśnie pobiegli do Frydów. To wszystko zostało usunięte. Posuwano także wszelkie uwagi na temat tego, co i ile kosztuje, ile kto zarabia itd.

● Bez kolorytu lokalnego, tak?

— Tak. A nawet do tego doszło, że musiałem się z redaktorką, która reprezentowała w tym wypadku cenzurę — targować o to, czy ta zylasta wołowa w barze samoobsługowym była za 1/3 czy za 1/4 dniówki.

● No tak, bo chodziło przecież o zatarcie realiów...

— I musiałem ustąpić z 1/3 na 1/4. Zgodziłem się perwersyjnie, bo wiedziałem, już wtedy wiedziałem, że i tak wyjadę z Polski. Ze i tak to się nie ukáže. Chodziło o wydanie książkowe.

● Jest to ten sam okres, kiedy Ida Kamińska zostaje w Ameryce, opisał to Rudnicki w książeczce „Teatr zawsze grany”.

— Tam są pewne nieścisłości. Ja uciekłem pierwszy. Nawet Ida Kamińska nie zrozumiała, że trzeba już uciekać, choć była bardzo mądrą kobietą. Z Idą Kamińską i z całym zespołem byłem w Nowym Jorku jesienią 1967 roku. Osiemnastego grudnia skończyliśmy występy, po ośmiu tygodniach bodajże. Ja powiedziałem, że wyjeżdżam do Kalifornii, żeby odwiedzić moją mamę i wrócę oczywiście. Pod koniec grudnia miałem występować w Warszawie. Kamińska i cały zespół wrócili przekonani, że ja też wrócę. Byli bardzo zaskoczeni, że nie wróciłem. Im się wydawało, że to jest nowa mała burza, która przeminie wraz z generałem Moczarem itd. Ida Kamińska wyjechała dopiero w 1969 roku, ale też w bardzo zdecydowany sposób.

● Pan zresztą pisze, że nie byłby Pan w stanie przeżyć 1938 roku w Polsce.

— Tak, właśnie ze względu na mój szczególny los. Ja nie mogłbym przeżyć prześladowań rasowych tego rodzaju, jakie przeżyłem już podczas okupacji hitlerowskiej. A wydaje mi się, że to, co się zdarzyło potem w Polsce, to były najgorsze prześladowania rasowe w Europie od upadku III Rzeszy. I dziwię się bardzo, że dotychczas parlament polski, który zareagował bardzo mocno na wszelkie inne nielegalne posunięcia władz komunistycznych w długim okresie ich rządów, nie zdobył się na żaden krok potępienia czy uznania za bezprawne tych właśnie prześladowań, które wyrządziły ludziom tyle krzywdy, które wyrządziły Polsce tyle krzywdy.

● Na pewno. Zgadzam się z Panem. Ale wróćmy do tych Pana ról, o których ja zaczęłam mówić, do ról pisarskich. Ja ogromnie cenię książkę „Życie codzienne i artystyczne”. I ona mi się podoba właśnie z tego powodu, że narracja jest prowadzona z punktu widzenia najpierw młodej dziewczynki, a potem dorastającej panienki. Oczywiście w określonej realistycznej rzeczywistości PRL-u. Czytając, zastanawiałam się jak Pan to zrobił, ponieważ jest to powieść tak realistyczna w każdym szczególe, że trzeba mieć jakiś ogromny talent przeobrażania się, ogromny talent obserwacji szczegółów o charakterze obyczajowym, żeby opowiadać jako młoda panienka, która dojrzewa w tych latach pięćdziesiątych i wczesnych sześćdziesiątych. Jak Pan to zrobił? Czy są tam jakieś fragmenty Pana własnej biografii? Bo to można przecież w żeńskim rodzaju opowiedzieć.

— Zrobiłem to przy pomocy mojej wrodzonej intuicji aktorskiej, wszedłem w rolę do tego stopnia, że jedna recenzentka za granicą napisała, że nawet tu, w pierwszej osobie rodzaju żeńskiego jestem tak bardzo sobą, że „widzimy Grynberga w baletkach”. Chodzi o to, że moja narratorka przez jakiś czas jest baletnicą i stara się zostać primabaleriną. To jest książka, która ukazała się ostatnio w PIW-ie. Jeśli chodzi o realizm tej książki, niech pani so-

bie wyobrazi, że wiele lat temu — przecież książka ukazała się po raz pierwszy w Paryżu 12 lat temu — dostałem list z Kalisza. Akcja przynajmniej połowy tej książki dzieje się w Kaliszu i bohaterka jest kaliszanką. A więc napisało do mnie Towarzystwo Miłośników Ziemi Kaliskiej, że jako kaliszanie może przysłałbym do ich antologii jakiś utwór. Nie przyszło im do głowy, że ja nie jestem kaliszanie. Ja nigdy w życiu nie byłem w Kaliszu. Parę razy pociągiem przejeżdżałem przez Kalisz, ale stacja była tak na uboczu i zarośnięta drzewami, że nie mogłem ani jednego domu zobaczyć, a opisuję przecież dokładnie ulice.

● Iluzja jest doskonała, dlatego mnie to tak poruszyło. Iluzja na różnych poziomach tekstu jest rzeczywiście znakomita, od panienki poczynając... Ja myślałam, że Pan był jednak w Kaliszu.

— Ale badałem topografię Kalisza, szukałem informacji, oglądałem pocztówki.

● Uważa Pan, że „Kadisz” jest najlepszą amerykańską powieścią, jaka wyszła spod Pańskiego pióra. Czy można wiedzieć, dlaczego?

— Kiedyś powiedziałem, że *Kadisz* jest pierwszą amerykańską powieścią napisaną po polsku. Akcja rozgrywa się w Stanach Zjednoczonych prawie wyłącznie, z wyjątkiem pewnych reminiscencji, które są opisywane, i realia amerykańskie są tam bardzo wyraziście pokazane. Realia przynajmniej pewnego okresu w życiu Ameryki, gdy ocalańcy z holocaustu próbują się zaaklimatyzować w zupełnie innym świecie. Do jakiegoś stopnia to im się udało.

● Tak, Ameryka stwarza te warunki dla zaistnienia w takiej masie wieloletniej, co Pana też bardzo interesuje, co też wiąże się z nagrodą Vincenza. Pan powiedział też o sobie, że uważa się teraz za Amerykanina. Jak to wolno rozumieć?

— Właściwie trudno jest mi siebie określić. Kiedyś mnie Pani na samym początku zapytała o przynależność do pokolenia czy do grupy literackiej, chciałem do żadnej grupy, chociaż zacząłem w takim charakterystycznym okresie. Nie pasuję do nikogo, do żadnego pokolenia ani grupy literackiej. Nawet określiłem to kiedyś, że znajduję się gdzieś między żywymi a zmarłymi. Jest mi naprawdę trudno o miejsce w życiu na ziemi. Istnieje jednocześnie w Polsce, w Ameryce i tu dodałbym trzeci kraj — Izrael — który jest mi bardzo bliski, który obserwuję z dużą emocją i reaguję emocjonalnie na wszystko, co się tam dzieje.

● Wcześniej Pan powiedział, że identyfikuje się Pan z narodem, ale niekoniecznie z poczynaniami państwa.

— Tak. Ja powiedziałem, że przysięgałem na wierność narodowi żydowskiemu, chociaż nie państwu. To jest zasada ogólna, tak powinno być wszędzie, w każdym kraju. Jestem we wszystkich tych trzech krajach jednocześnie i przez to możliwe, że w żadnym. W Ameryce egzystuję w sensie fizycznym i bardzo mocno to odczuwam i jestem z tego naprawdę zadowolony. Tym niemniej, intelektualnie i kulturowo cały czas jestem w Polsce, nawet wtedy kiedy piszę taką powieść jak *Kadisz*, choć być może tu jest rodzaj schizofrenii, bo chyba jestem w dwóch miejscach jednocześnie. A duchowo jestem, jeśli nie przeważnie, to bardzo często w Izraelu i tradycji żydowskiej. A Izrael jest obecnie głównym ośrodkiem żydowskiego życia duchowego. To są moje trzy ojczyzny. Próbuje się w ten sposób zdefiniować. Ale myślę, że w rzeczywistości jest to jeszcze bardziej płynne.

(Rozmowa ta została nagrana dla TV Kraków i była emitowana w audycji „Obrazy, słowa, dźwięki” w marcu 1992 roku.)

ZYGMUNT NOWAKOWSKI — REJTAN EMIGRACJI

(CD. ZE STR. 1)

reporterowi na wjazd do ZSRR, o co dwukrotnie zwracała się Ambasada Polska w Moskwie. W rozmowie z Andrzejem Wyszyńskim, ówczesnym zastępcą Molotowa, w marcu 1942 r. ambasador Stanisław Kot usłyszał: „Nie znam bardziej wrogię dla Związku Radzieckiego pisma. Osobą tą (Nowakowskim — S. S. N.) zainteresowałem się specjalnie. Czytałem artykuły „Wiadomości Polskich” i stwierdziłem, że nie ma chyba bardziej zajadłe antyradzieckiego pisma na całej naszej półkuli”.

Od tego czasu Nowakowski był coraz częściej nazywany Rejtanem polskiej emigracji. Na konferencji prasowej z gen. Sikorskim, na której zarzucił premierowi uległość wobec Rosjan, co jego zdaniem groziło utratą ziem wschodnich, w porwywie gniewu chwycił za krzesło. Ten incydent przeżył bardzo boleśnie. Myślał nawet o samobójstwie. Nie mógł pogodzić się z faktem, że cenzura polska i brytyjska, aby nie drażnić Stalina, nie dopuszczała ostrzeżeń przed imperialnymi skłonnościami Moskwy. Nie mógł pogodzić się, że nie wolno było pisać o Wilnie i Lwowie — „sercach wyrwanych z polskiej pierś”.

A dam Pragier pisał: „Była wówczas wojna, a jak mówi przysłowie, najwięcej kłamie się przed słubem, po polowaniu i w czasie wojny. A Nowakowski pisał prawdę”. Rzucił się w sam gąszcz konfliktu o ziemie wschodnie. Z jego wojennych artykułów w „Wiadomościach Polskich” nie można było dowiedzieć się całej prawdy o zakulisowej grze Churchilla, Roosevelta i Stalina, bo temu przeszkadzały obie cenzury. Ale można było odczytać bardzo przejrzyste aluzje. „Jesteśmy w gościnie — pisał Nowakowski — ale jesteśmy sprzymierzeńcami i to sprzymierzeńcami prawdziwymi, o hipotece wyjątkowo czystej. Mamy pewne prawa nabyte”.

Owych „nabytych praw” nie respektowano. Krytyka polityki brytyjskiej i amerykańskiej wobec Związku Radzieckiego była tłumiona coraz bezwzględniej. „Chwila na słowo Nie! jest najbardziej stosowna i właściwa — pisał Nowakowski w swym ostatnim wojennym felietonie. — Odpowiadamy tym słowem na wszystkie propozycje czy rozkazy kwestionujące całość Rzeczypospolitej i jej suwerenność”.

Ten artykuł Nowakowskiego przewazył. Uznano go za wyjątkowo szkodliwy dla jedności alianckiej i 12 lutego 1944 r. brytyjskie ministerstwo informacji podjęło decyzję o wstrzymaniu przydziału papieru dla „Wiadomości Polskich”, co równało się z zamknięciem pisma. Wysoki urzędnik brytyjski stwierdził, że nie po to marynarze angielscy wożą papier przez ocean, aby cudzoziemcy w Londynie mieli pomagać propagandzie niemieckiej w „sianiu niezgody między sojusznikami”. „Tyłu odświętnych patriotów — pisał Tadeusz Nowakowski, imiennik nie spokrewniony z Zygmuntem — z nie-dzieli na niedzielnie pogodziło się ze zdradą sojuszników i nowym rozbiorem ojczyzny. Ale nie on, pies na sznurku warczący! On nigdy się z kłębem nie pogodził. Pogodzić się nie chciał i nie mógł, bo wiedział, że kto jak kto, ale literatura nasza od pokoleń w sprawie przegranej wiary docho-wuje”.

Postanowienia konferencji jaltańskiej w sprawie Polski wywołały w Londynie szok. Wylizanie krzywd i powoływanie się na racje etyczne Anglicy zbywali kłopotliwym milczeniem. Nowakowski twierdził, że Jalta nie jest „piątym rozbiorem”, ale całkowitym zaborem Polski przez Rosję. Zarzucił Jancie-Polczyńskiemu, że pisze o wyzwoleniu Polski przez Armię Radziecką bez użycia, jego zdaniem niezbędnego, cudzoziemca. W poczuciu kompletnej klęski i bankructwa niezależnych polskich ośrodków politycznych pisał: „Boimy się spojrzeć w twarz prawdzie. Prawda zaś jest nie inna, tylko ta, że krew polskiego żołnierza poszła na out. Szkoda tej krwi! Szkoda ogromna i niepowetowana. Najbardziej subtelny mikroskop nie wykaze ani śladu korzyści. Daliśmy sto razy więcej niż dać bylibyśmy powinni, w zamian nie otrzymaliśmy niczego”.

Po konferencji poczdamskiej w polskim Londynie następował dramatyczny rozłam. Nie wszyscy bowiem tak jak Nowakowski jednoznacznie negowali Polskę w nowych granicach. W ślad za Stanisławem Mikołajczykiem zdecydowali się na wyjazd do kraju przedstawiciele różnych ugrupowań, kilku wyższych dowódców, sporo oficerów, wielu żołnierzy, a spośród pisarzy Antoni Słonimski, Ksawery Pruszyński, Julian Tuwim. Nowakowski uznał, że został skazany arbitralnie na los emigranta. Narzucony rząd i linia Curzona były dla niego kompromisami nie do przyjęcia. Godził się na polską granicę na Odrze i Nysie, ale nie jako rekompensatę za Lwów i Wilno. „Nabytki zachodnie — pisał — w całej ich rozciągłości są słusznym, choć tylko częściowym odszkodowaniem, lecz

ski, Tymon Terlecki i Stefania Zahorska. Ten krańcowy wyraz rejtanady nie znalazł pełnej akceptacji również w polskim Londynie, wzbudzając m. in. protesty Stanisława Mackiewicza, Karola Zbyszewskiego i Jana Bielatowicza.

Poglądy polityczne Nowakowskiego wzbudzały ostre kontrowersje nawet w jego najbliższym otoczeniu. Sarkastyczni bracia Karol i Wacław Zbyszewscy uważali, że z Nowakowskim poważnie o sytuacji w kraju i Europie dyskutować nie można. „Jego polityka — pisał Wacław — bij zabij na wszystkie strony, bij Niemca, bij Moskala, bij Czecha, bij Roosevelta, bij Churchilla, bij zdrajców, bij chłódnych, bij letnich, bij wszystkich, była jakby wywarem głupoty polskiej i wszechświatowej, była jakby podręcz-

Mariackim wygłaszał gawędy o historii i literaturze polskiej, stopniowo przekształcając tę audycję — dość powszechnie mimo zagłuszeń słuchaną — w instytucję kulturalną. W sumie wygłosił 177 pogadanek mających charakter eseju historycznego, tematycznie od pierwszych Piastów poczynając, na powstaniu styczniowym kończąc.

„Był niewątpliwie — pisze Maria Danilewicz Zielińska — doskonałym prelegentem i nie ma przesady w powiedzeniu, że w najgorszych czasach stalinowskich cała Polska słuchała jego pogadanek historycznych i historyczno-literackich”. Wydane w 1966 r. w Londynie w tomie Wieczory pod dębem z wstępem Leopolda Kielanowskiego straciły swą siłę oddziaływania. Zabrakło bowiem niezwykle melodycznej głosu Nowakowskiego i jego sugestywnej interpretacji, a i historycy dopatrzili się wielu potknięć i uproszczeń.

Praca nad gawędami historycznymi bardzo absorbowała Nowakowskiego. Stopniowo zamieniał się w mola książkowego. Do każdej audycji przygotowywał się bardzo sumiennie od strony faktograficznej. Przesiadywał w bibliotekach. W jego małym pokoiku na Hampsteadzie piętrzył się co tydzień nowy stos książek przynoszonych w ciężkich teczkach z bibliotek.

Po 1954 r. na polu ociemniały, po dwóch operacjach katarakty, coraz bardziej cierpiący i podupadający na zdrowiu, czuł się jak ptak w klatce, który nie może rozwinąć skrzydeł. Zarobkowiorka w gazecie codziennej i w radiu nie pozwalała mu na pisanie powieści wielowątkowej, o czym często myślał. „Pracując z największym wysiłkiem — zwierzał się na rok przed śmiercią — mam świadomość, że się kończę, że już niczego porządnego nie napiszę”.

Nieskory do komplementowania kogokolwiek Wacław Zbyszewski pisał: „Gdyby mnie zapytano, kogo ze współczesnych emigracyjnych pisarzy najbardziej szanuję jako człowieka, bez wahania powiedziałbym, że Zygmunta Nowakowskiego. Ten człowiek stary, schorowany, prawie ślepy nie daje za wygraną, ale ostatkiem sił walczy, by nie stoczyć się do upodlającej roli, która polega na tym, że żyje się z dobroczynności, z zasiłków, z jałmużny. Nowakowski kiedyś mi mówił: «Czasem jestem już tak zmęczony przy mojej maszynie, że już naprawdę nie wiem ani co, ani dla kogo piszę». I sam go widziałem, jak w studio «Wolnej Europy» ten cień człowieka strząpił resztki oczu, by jeszcze raz poprawić swój manuskrypt i resztki głosu, by odczytać go przed mikrofonem”.

Był samotny. Nie założył rodziny. Prowadził podobny tryb życia jak jego przyjaciel Grydzewski. Obaj, nie mając domów w sensie materialnym, mieszkali kątem: Nowakowski przy rodzinie konsula Karola Poznańskiego, Grydzewski zaś u Stefani i Juliusza Sakowskich. Nad biurkiem Nowakowskiego wisiał sztych przedstawiający Joachima Lelewela w Brukseli — samotnika na wygnaniu. W 1962 r. znalazł się w bardzo ciężkiej sytuacji materialnej. Wówczas to z inicjatywy Mariana Hemara Polacy londyńscy zorganizowali zbiórki pod nazwą „Obłogorek dla Nowakowskiego”, by tak jak kiedyś Sienkiewiczowi dać wyraz wielkiego uznania i pomóc choremu pisarzowi.

„Starość jest straszliwą, nieuleczalną chorobą — skarżył się w ostatnim liście Tadeuszowi Nowakowskiemu — żał czegoś, psia krewo, żał, żał i jeszcze raz żał, ale coś tam, chyba w życiu zrobiłem, jeśli nawet niewiele... Był czas, że wierzyłem w powrót do Krakowa”.

Umierzał długo, patetycznie. Kres nastąpił 4 października 1963 r. W testamentie prosił o przewiezienie zwłok do Krakowa. Marzył mu się pogrzeb z hejnałem. Na łożu śmierci szeptał o Krakowie, swej pierwszej i ostatniej miłości do ostatniego tchnienia wierny „lajkonik na wygnaniu”. Spoczął na małym londyńskim cmentarzu „Fortune Green” (Hampstead). Latami trwały pertraktacje o wwiezienie trumny do kraju. Skończyły się w lutym 1968 roku przestaniem urny z popiołami, które złożono na cmentarzu Rakowickim w Krakowie w grobie jego matki po cichym pogrzebie.

Przemilczana przed rokiem nawet w Krakowie setuletnia rocznica urodzin Nowakowskiego świadczy, iż pamięć o „Rejtanie emigracji” zanika.

Stanisław S. Nicieja



Zygmunt Nowakowski — rycina IRENY LUDWIG

nie za Lwów i nie za Wilno. Tylko za straszliwe źródnie niemieckie, których ofiarą padła Polska. Te nabytki są dziełem sprawiedliwości. Należą się one nam jako zadośćuczynienie, choć nie naprawią krzywd zadanych Polsce przez Niemcy”.

Nowakowski nie potrafił i nie chciał zaakceptować tego, co się w Polsce stało w wyniku II wojny światowej. Wolał być Rejtanem niż Stanisławem Augustem, Trauguttem niż Wielopolskim. Podobnie jak Tymon Terlecki pojmował emigrację jako swego rodzaju zakon broniący wartości idealnych, walczący o lepszy i „naprawdę polski porządek w ojczyźnie”. Należał więc w Londynie do samego jądra tej grupy polityków, artystów i intelektualistów, którzy otrzymali przydomek „niezlomni i nieprzejednani”. Uważali oni, iż nakazem emigracji jest prowadzenie polityki „w imieniu” kraju niesuwerennego i nie mogącego decydować o wyborze formy rządów oraz kontynuowanie i rozwijanie tej twórczości, która w kraju była zakazana.

Bezkompromisowość Nowakowskiego w stosunku do Polski pojaltańskiej wyraziła się najbardziej w fakcie, iż był jednym z redaktorów uchwały Związku Pisarzy na Obczyźnie z 14 czerwca 1947 r. o zakazie drukowania w kraju utworów twórców pozostających na emigracji. Dokument ten podpisało 40 pisarzy. Oprócz Nowakowskiego byli wśród nich m. in.: Stanisław Baliński, Marian Hemar, Ferdynand Goetel, Wacław Grubiński, Jan Lechoń, Marian Kukiel, Adam Pragier, Stanisław Stroń-

niem dla idiotów, była jakąś halucynacją, stanem chorobowym”.

Ten cytat ilustruje temperament polemik. Na takie dictum Nowakowski odpowiadał nie mniej gwałtownie: „Tak jest! — pisał podrażniony słysząc, że nazwano go emigrejtanem — wcale się tego nie wstydzę. Są sprawy, o których nie chcę i nie umiem dyskutować. I wtedy jestem pryncypialistą, maksymalistą, pieniaczem, fanatykiem, psem na sznurku, czym chcecie!” Zaciętości przekonań nabierał z wiekiem. W wielkiej wojnie o Gombrowicza dowodził wyższości proberzy patriotyczno-obywatelskich nad artystycznymi.

Pomimo niosącej z sobą depresję psychiczną wieloletniej tęsknoty oraz płynących z kraju od rodziny nakłaniania, a od przyjaciół apeli, Nowakowski do Polski nie wrócił. Pozostał do końca jednym z najbardziej nieprzejednanych publicystów emigracyjnych. „Emigrejtan i uparciuch” — podpisywał się z autoironią w listach z Londynu.

W marzeniach i wspomnieniach błędził po swoim Krakowie. „Tęsknię okropnie — zwierzał się w 1953 r. — jak pies na łańcuchu. Trzynastcie z górą lat poza Krakowem! Ja! Ja, który mógłbym przez jego ulice iść z zamkniętymi oczyma. I nie zabłądziłbym, ani nie potknął się, bo przecież znam osobiście każdy kamień (...). Gdy mi przyjdzie świat ten rzucić, mam być pochowany nie gdzie indziej, tylko na polu karnym Cracovii. Po śmierci nawet będę broniał bramki. Bom Krakowiak”.

Od 1950 r. Nowakowski ogłaszał cotygodniowe felietony w londyńskim „Dzienniku Polskim” zebrane następnie w tomie Lajkonik na wygnaniu. W 1952 r. rozpoczął regularną współpracę z Radiem Wolna Europa. W każdą niedzielę po hejnał

CZESŁAW MIŁOSZ

Wypisy z ksiąg użytecznych O miłości (II)



Li Ching-Chao

BEZNADZIEJA

według Rexrotha

Kiedy patrzę w lustro
Moja twarz mnie przeraża.
Zrobiłam się taka okropna!
Kiedy wiosna powraca
Opanowuje mnie słabość
Jak ciężka choroba.
Jestem zbyt leniwa
Żeby wachać nowe kwiaty
Albo pudrować twarz.
Wszystko doprowadza mnie do rozpacz.
Smutek, który mnie gnębi
Dodaje do nagromadzonych
Zgryzot w dniach dawnych.
Przestraszają mnie lelki swymi dzikimi
Krzykami i nie mogę
Wygnać ich z moich uszu.
Czuję gorzkie zażenowanie
Kiedy widzę na firance
Cienie dwóch jaskółek, które się kochają.

Robinson Jeffers

SPALENIE

To prawie przekreśla mój strach śmierci,
Powiedziała moja ukochana, kiedy myślę,
Że będę spalona. Gnić w ziemi,
Wstrętny koniec, ale buchnąć płomieniem —
Zresztą mam już wprawę,
Płomieniałam miłością i gniewem tyle razy w życiu,
Nic dziwnego, że to ciało jest zmęczone,
Nic dziwnego, że umiera.
Mieliśmy wiele radości z mego ciała. Rozsypcie prochy.

Denise Levertov

KOBIETA SPOTYKA DAWNEGO KOCHANKA

On, z którym biegłam trzymając się za rękę,
kopiąc skórzane liście w dół Oak Hill
trzydzieści lat temu,

zjawił się przede mną, z niespokojną twarzą, blady,
prawie nie do poznania, niepewny,
kulawy.

On, którego nie pamiętam śmiejącego się głośno
ale widzę jak uśmiecha się, zadowolony z siebie,
plakał na moim ramieniu.

On, który zdawał się zawsze
brać tylko, nie dawać, którego
tak długo nie mogłam zapomnieć,

pamiętał wszystko, co dawno zapomniałam.



Ryciny ALEKSANDER PIENIEK

Ten następny dzień też nie dał „Witoldowi” powodu do zadowolenia. Hull i Biddle słuchali go uprzejmie, kiwali z podziwu głowami nad wyczynami Armii Krajowej, zasępiali oblicza słuchając o mordowaniu Żydów, wyraźnie zastrzegli uwagę, gdy mówił o zagrożeniach ze strony Sowietów. Robili jednak wszystko, aby choćby jednym nieopatrzonym słowem nie zdradzić w żadnej sprawie własnego stanowiska. Nie żalowali natomiast zapewnień o przyjaźni i podziwie dla polskiego narodu i dla niego osobiście.

Było to łatwe, banalne i nie zobowiązywało do niczego. Wychodząc z ich gabinetów był niemal pewien, że cały jego wywód wypadnie im z pamięci, jak tylko zamknie za sobą drzwi.

Armii Krajowej, to jest wszechstronne. Walczymy nie tylko z bronią w rękę. Mogę na przykład opowiedzieć o „Akcji N.”.

— „Akcja N.”? Co to takiego? — Tym razem ryba najwyraźniej połknęła haczyk.

— Bardzo skuteczna metoda dywersji.

Zwięźle, lecz przytaczając wiele konkretów, wyjaśnił na czym sprawa polega.

Stimson słuchał uważnie, parokrotnie wydał okrzyk podziwu, wynotował tytuły kilku propagandowych wydawnictw, wyraźnie już tylko z grzeczności zapytał o jakąś bliźszą i na tym

— Przez Lyon, Perpignan, w kierunku na Pireneje. Nasze radiostacje informowały o każdym moim kroku.

— Przeprawa przez góry odbyła się bez przeszkód?

— Było ciężko. Kilka razy myślałem, że nie dam rady, ale udało się. Za to w Hiszpanii mogłem wreszcie odetchnąć, nie muszę się wolać. Przyjmowano mnie tam po królewsku.

— Samochód z Barcelony do Madrytu ze znakami dyplomatycznymi, luksusowy apartament w stolicy i wreszcie coś przyzwoitego do ubrania w najlepszych magazynach. Wszystko to należało się panu. Dokonał pan przecież nie lada wyczynu.

Popatrzył na pułkownika ze zdumieniem. Już miał na końcu języka py-

Jakby dla podkreślenia tej zażyłości Ciechanowski zaaranżował spotkanie w swoim prywatnym mieszkaniu.

Od pierwszej chwili, gdy tylko „Witold” zobaczył niskiego, niepozornego człowieka o błyszczących inteligencją oczach, był pewien, że ten wreszcie wysłucha wszystkiego uważnie. Dotyczyło to przecież jego rodaków, a on znał tu tak wiele. Nie był bezsilnym cudzoziemcem, jak Zygielbojm w Anglii. Może będzie wiedział co robić, jak przezwyciężyć marazm i bezradność.

— Pan wie, że jestem Żydem? — zapytał na wstępie.

— Wiem. Mówił mi o tym pan ambasador.

MISJA OSTATNIEJ NADZIEI (II)

Jerzy Korczak

Poczuł zniechęcenie tak wielkie, że nieoczekiwanie zateśknął za Anglią, której jeszcze przed kilku tygodniami miał absolutnie dość. Tam większość polityków też w interesie Polski nie kiwnęła nawet palcem. Tyle że chociaż w rozmowach potrafił się bardziej angażować. Były to po prawdzie przeważnie namowy do większej elastyczności wobec Sowietów, wzbudzały złość i gorycz, ale wolał to niż ewidentne branie wody w usta.

Dopiero z Henrym Stimsonem nawiązana została wreszcie jakaś próba dialogu. Dotyczyła prawie wyłącznie szczegółów, działań zbrojnych Armii Krajowej; był to jednak i tak postęp.

Zainteresowania sekretarza wojny były zbliżone do zainteresowań lorda Selbourn; wszystko inne puszczał mimo uszu. I tym różnił się od Anglika, który chociaż usiłował stwarzać pozory chęci wiedzy o szerszych sprawach.

Już pierwsze pytanie wprawiło „Witolda” w zakłopotanie.

— Chciałbym usłyszeć od pana coś więcej o akcjach sabotażowych i dywersyjnych. Interesują mnie dokładne daty, miejsca, gdzie dochodziło do starć, ilość strat po obu stronach.

Nie był to temat, w którym „Witold” czuł się najpewniej. Nadto pamiętał o poleceniu „Grot”, aby unikał z aliantami rozmów na tematy związane z wojskiem. Dlatego po chwili namysłu odpowiedział:

— Tych akcji jest bardzo wiele — dywersja kolejowa, ataki na niemieckie placówki policyjne i gospodarze w mieście i na wsi, odbijanie więźniów, odwetowe zamachy na najbardziej gorliwych zbrodniarzy, zwłaszcza tych z gestapo, SD i SS, a także...

— O tym wszystkim wiemy — przerwał Stimson, odkładając gruby zeszyt przygotowany do zapisków. — Byłbym jednak wdzięczny za konkrety. Walka żołnierzy Armii Krajowej to część wysiłku zbrojnego aliantów. Walcząc przeciwko Niemcom na waszym terenie, bronią także Stanów Zjednoczonych. Dlatego tak bardzo zależy nam na szczegółach.

— Rozumiem. Niestety nie zawsze to możliwe w warunkach konspiracji. Jestem zresztą emisariuszem rządowym, o działaniach zbrojnych nie mam wiadomości z pierwszej ręki.

— Jest pan przecież oficerem i to wysokiego stopnia w tajemniczenia. Świadczy o tym pańska misja.

— Ranga nie tak wysoka. Tylko porucznik. A co do zakresu działania

rozmowa się skończyła. Nie dała nie, a jeśli nawet coś, to na pewno niewiele.

Z każdym dniem trudniej było mu się pogodzić z tą źle maskowaną obojętnością. Czyżby Polska przestała już kogokolwiek obchodzić? Rozczarowanie narastało, potęgowała się też niecierpliwość. Terminy spotkań z przedstawicielami Żydów, nie wiadomo dlaczego, ulegały wciąż przesunięciom. Starał się swój nastrój ukrywać przed Ciechanowskim, bo dobrze wiedział, ile wysiłków kosztuje zorganizowanie każdego spotkania.

Wrócił od Stimsona wcześniej niż zwykle. Nazajutrz miał rozmowę o specjalnej wadze: szef wywiadu wojskowego pułkownik William J. Donovan. Uchodził on za asa w swoim zawodzie. Należało się też z jego strony spodziewać najbardziej nieoczekiwanych pytań, do których trzeba się było wszechstronnie przygotować. Zwiąższa ze pułkownik przyjął propozycję rozmowy niemal entuzjastycznie, a to zobowiązywał tym bardziej. Ciechanowski uprzedził kilkakrotnie, że Biuro Działania Strategicznego — tak brzmiała nazwa kierowanej przez pułkownika instytucji — to w sferach zbrojnych Stanów Zjednoczonych prawdziwa potęga, a jej szef zwany jest la-tającym ambasadorem prezydenta Roosevelta. Szczególne znaczenie tego biura wzmagala dodatkowo aura tajemniczości; niemal wszystko, także i adres, były pilnie strzeżoną wojskową tajemnicą.

Donovan zjawiał się w ambasadzie o umówionej godzinie i oznajmił, że wie o misji „Witolda” sporo, ale jeszcze więcej chciałby się dowiedzieć. I od razu zasypał go pytaniami. Podobnie jak Stimson interesował się jednym tylko tematem, do którego wracał uporczywie: łączność pomiędzy okupowaną Polską a Wielką Brytanią. Chciał znać każdy szczegół związany z pracą kurierów. Na nie zdążyły się próby „Witolda”, aby mu przekazać jakiejś innej informacji, które mogły być cenne dla amerykańskiego wywiadu. Ani hitlerowski terror, ani zagłada Żydów, a nawet organizacja państwa podziemnego dziwnie nie wzbudzały jego zainteresowania.

Z dokumentami francuskimi przejechał pan przez Niemcy do Paryża. A dalej jak? — Pytania zadawał tonem salonowej konwersacji, pilnie bącząc, aby zbyt szczegółowo nie zagłębiać się w ewentualne sekrety polskiego sztabu — żadnych nazwisk czy szczegółów o punktach kontaktowych. Był zbyt dobrym fachowcem i znał granice, których przekraczać nie należało.

tanie: skąd tak dokładne wiadomości? Ale Donovan, usmiechając się chytrze, uprzedził go.

— A ci ludzie, których pan spotkał w Hiszpanii... Był pan z nich zadowolony?

— To mało powiedziane. Byli moimi aniołami stróżami. Pomogli mi we wszystkim aż do samego Algeciras. Zegnaliśmy się jak przyjaciół.

— Mówili kim są?

— Nie pytałem ich, a oni na własne tematy też nie byli zbyt gadatliwi.

— Tak powinno być. To moi ludzie, moja szkoła. — Radość aż go rozpie-rała. Kilkakrotnie nawracał do tego tematu, wyraźnie spragniony słów uznania. Było w tym coś dzieciniego, coś czego „Witold” nie potrafił zrozumieć. Miał niemal pewność, że czekają go karkołomne wysiłki, aby sprostać takiemu rozmówcy. Ze będą pytania z różnych dziedzin, przede wszystkim o to, co dzieje się w okupowanym kraju. Miał nieśmiało nadzieję, że za takim pośrednictwem uda się przekazać wiele ważnych szczegółów, może nawet samemu prezydentowi. A tu jeszcze jeden niewypał, jeszcze jedna stracona szansa.

Donovan wygłosił całą więzankę pochwał, ale nawet nie zaproponował ponownego spotkania.

— Jakby w ogóle mieli Polskę w nosie — zwierzał się Ciechanowskiemu, tym razem nie kryjąc już rozgoryczenia. — Spisali nas na straty czy co?

— Tak nie jest, mój drogi. Możesz być pewien, że to co robisz jest ważne, naprawdę ważne. A żeby się pocieszył, mam dla ciebie nowinę. Dobrą nowinę. Coraz lepsze są szanse, że już niedługo...

Nie dał dokończyć. — Roosevelt?!

— Mam sygnały, że prezydent chętnie cię przyjmie. Jest tylko potwornie zajęty i dlatego na razie nie może wyznaczyć terminu. Biały Dom ma nas zawiadomić.

— A Żydzi, panie ambasadorze?! Kiedy z nimi? Nie daję mi to spokoju.

— Wiem. Mnie też nie daje. Poruszał problem Żydów w Departamencie Stanu wielokrotnie. Bez skutku. Może tobie poszczęści się lepiej. Jesteś w końcu świadkiem naocznym. Jutro spotkasz się z Feliksem Frankfurterem. To jeden z ważniejszych ludzi w Ameryce. Jest nie tylko sędzią Sądu Najwyższego, ale także bliskim przyjacielem prezydenta. Ma ogromne zasługi dla Stanów. Pamięta mu się, ile zdziałał po kryzysie w czasie kadencji Hoovera. Był wtedy po uszy zaangażowany w opracowanie projektu reform. Mam z nim od dawna bardzo dobre stosunki i chciałbym być przy rozmowie.

— Proszę mi więc opowiedzieć, jaka jest prawda o tym, co dzieje się z Żydami w Polsce. Raporty i wiadomości są sprzeczne.

„Witold” zaczął mówić. Tym razem postanowił, że nie będzie zwracał uwagi na czas; wszystko o losie Żydów w najdrobniejszych szczegółach. Od samego początku, gdy tylko zaczął się terror. Każda faza, aż do totalnej zagłady. To, co mu przekazywano, co znał z raportów, relacji i rozmów i to, co widział na własne oczy w getcie i w Belżcu.

Frankfurter słuchał uważnie, rzadko tylko przerywając. Pytał o sprawy techniczne: Jak wysoki jest mur getta? Jak się tam w środku porusza? Kto go wprowadził?

Kiedy skończył, zapadła cisza. Twarz Frankfurtera była szara. Podniósł się i wolno, wkoją w milczeniu zaczął chodzić po pokoju. Nagle odwrócił się i stanął nad „Witoldem”. Jego oczy zdawały się płonąć jeszcze bardziej.

— Panie Karski, człowiek taki jak ja, mówiący do człowieka takiego jak pan, musi być całkiem szczery. — Na moment zamilkł, jakby mu zabrakło tchu, po czym dokończył: — Nie potrafię panu uwierzyć, naprawdę nie potrafię.

— Nie mówisz chyba tego serio, Feliks! Pan Karski przecież nie kłamie. Mój rząd stoi za nim. — Ciechanowski, który był uosobieniem spokoju i opanowania poderwał się, prawie krzyczał.

— Ja, panie ambasadorze, nie powiedziałem, że ten młody człowiek kłamie. Powiedziałem, że nie jestem w stanie uwierzyć. A to różnica. — Uniósł ręce, przytknął je do twarzy jakby chcąc się zasłonić przed emisariuszem.

„Witold” siedział w milczeniu. Wszystko, co miał do powiedzenia, zostało już powiedziane. Nie bardzo wiedział, jak się zachować. Ta reakcja była tak nieoczekiwana. Wszak człowiek tak wysoko na świeczniku nie mógł nie wiedzieć, że Hitler Żydów morduje. Zapewne oddał prawdę, próbował o niej nie myśleć, może ludziom, że jest w tym trochę przesady. Aż tu nagle ta brutalna prawda wtargnęła w jego życie i od niej uciec już trudno. Czy tak było w istocie? Tego odgadnąć nie mógł. Mógł snuć tylko domysły.

Poczuł drgającą dłoń w swojej dłoni, a tuż przy uchu głos wyraźnie usiłujący pohamować wzruszenie.

— Panie Karski, gdyby kiedykolwiek potrzebował pan jakiejś pomocy... Niech pan pamięta, zobowiązuję pana do tego. Proszę przyjść do mnie, zawsze zrobię wszystko, co będę mógł.

Ciechanowski wrócił, odprowadził gościa, a „Witold”, wciąż w zamyśleniu siedział na swoim miejscu.

— Niczego już nie rozumiem. Czy on naprawdę mi nie uwierzył?

— Nie wiem. I dla mnie to niezrozumiałe. Ty, Jasiu, nie jesteś przecież pierwszy, który alarmuje, co dzieje się z Żydami w Polsce i w całej okupowanej Europie. I ja stukalem do wszystkich ważnych drzwi, robiłem co w ludzkiej mocy. Nasza placówka wiedziała o tym chyba najwcześniej. Gdzieś od połowy zeszłego roku szły memoriały do Roosevelta, prośby, rezolucje, były liczne wiece. Na niektórych dziesiątki tysięcy słuchaczy. Odbywały się pod hasłem: „Zatrzymać Hitlera teraz!” Jeden taki wiec pamiętam dokładnie. Byłem na nim w Nowym Jorku. Madison Square Garden, pierwszy marca. Dziesiątki tysięcy słuchaczy, najbardziej przerażające fakty. Ludzie krzyczą, że trzeba coś zrobić, że nie można dalej biernie tylko słuchać i czekać z założonymi rękami aż Hitler zrobi swoje do końca i po Żydach nie pozostanie śladu.

— I co?

— Nic. Sam wiesz najlepiej. Twój następny rozmówca, prezes Amerykańskiego Kongresu Żydów, rabin Stephen Wise, organizował tę kampanię. On nie będzie mógł powiedzieć, że ci nie wierzy.

— Ja mu i tak o wszystkim opowiem. Jak Franfurterowi, a może jeszcze dokładniej. Z najdrobniejszymi detalami. Jak ludzi gnają do komór gazowych, jak konają w męczarniach, jak żywych zakopują w ziemi. Wszystko, wszystko opowiem. Mam już dość migania się od prawdy, tej gry nie wiadomo w co.

A teraz siedzieli naprzeciw siebie i już to właśnie mówili. Z gniewem i przejęciem. Szczyły czoła, wiek o bladej, ascetycznej twarzy, w jedwabnej jarmułce, którą raz po raz poprawiał na czubku głowy, słuchał z uwagą i słowem nie przerywał. Może, gdyby „Witold” mógł czytać w myślach rabina Wise’a, wiedzieć, że tamten wie niemal tyle co on, ściszyby swój zbyt dobitny ton. A rabin Wise wiedział dużo, bardzo dużo. Znał niemal w szczegółach niemiecki plan rozwiązania problemu żydowskiego w Europie. I to już od sierpnia 1942 roku. Właśnie wtedy londyński oddział Światowego Kongresu Żydów, za pośrednictwem placówki w Szwajcarii, zaalarmował o totalnej eksterminacji amerykański Departament Stanu. Ale Sumner Welles, jeden z potężnych ludzi Ameryki, zabronił ujawnienia tych wiadomości. Po paru dniach relacja dotarła jednak do rabina z Londynu. Wtedy Welles zażądał kategorycznie, aby Wise zachował milczenie. Argument był jeden: Stany Zjednoczone winny możliwie szybko i przy najmniejszych stratach wygrać wojnę i to z dwoma wrogami — Niemcami i Japonią. Wszystko inne, co mogłoby zakłócić ten nadrzędny cel, musi być odrzucone.

Problem z Żydami mógł być szczególnie kłopotliwy. Brakowało statków do ewentualnego przewiezienia uchodźców przez Atlantyk, brakowało żywności i pieniędzy, koniecznych w pierwszym rzędzie dla wojska i społeczeństwa amerykańskiego. Nadto istniał żelazny przepis ustawodawstwa Stanów Zjednoczonych. Limitował ilość imigrantów. I od tego w żadnej sytuacji nie mogło być wyjątków. Nawet i wtedy, gdy określonej grupie ludzi groziło unicestwienie.

Rabin Wise znał też szczegóły likwidacji warszawskiego getta; wiedział, dokąd szły i jak były liczne transporty do obozów zagłady. Ta wiadomość dotarła do Waszyngtonu polskim szafrem dyplomatycznym poprzez Zurych. On, rabin Wise, wraz z działaczami światowej organizacji „Agudas Israel”, nie założyli bezczynnie rąk; natychmiast powiadomili wpływowych amerykańskich mężów stanu, prasę, społeczeństwo, co dzieje się z Żydami. Zrobili wszystko, aby sekret przestał być sekretem.

No i tajemnica została ujawniona, kto chciał i nie chciał musiał poznać prawdę, chyba że się przed nią bronił, chyba że w panice przed nią uciekał. A byli i tacy. Nie miała grupa dziennikarzy żydowskich na specjalnych zebraniach zastanawiała się długo, czy raporty z Zurychu nie są przypadkiem sfałszowane. Tak bardzo w ten fałsz chcieli uwierzyć, aż niemal w to uwierzyli. Być może, że tę wiarę wspomagała także zadawniona pogarda dla Żydów ze wschodu, tych ciemnych Aszkenazich, szwargoczących

dziwnym językiem, brudnych, niepiśmiennych, zamkniętych we własnym tajemniczym świecie.

Nie miało to zresztą i tak żadnego znaczenia — nikt przecież mordowanym Żydom nie zamierzał naprawdę pomóc.

Rabin Wise ani przez chwilę nie miał wątpliwości, że wieści z Europy są prawdziwe. Napisał list do prezydenta Roosevelta. List musiał wstrząsnąć każdym, kto miał sumienie. I prezydentem wstrząsnął, bo rabin otrzymał zapewnienie, że Stany Zjednoczone i ich sojusznicy zrobią wszystko, aby przerwać zbrodnie i uratować tych, których można jeszcze uratować. W liście była też mowa o bogach, którzy wymierzają sprawiedliwość powoli, lecz bardzo dokładnie. O tym, że tak jest w istocie, kogo jak kogo, ale uczonemu rabinowi nie trzeba było przekonywać. Tylko że teraz niepotrzebna była dokładność bogów. Potrzebny był ich pośpiech.

— Czy sądzi pan, że zagraniczne paszporty mogą istotnie pomóc? — spytał Wise, kręcąc powątpiewająco głową. — Nic nie wskazuje, żeby Niemcy dali się na to nabrać.

— Przywódcy żydowscy w Warszawie domagali się, żebym tę prośbę przekazał. Idzie o czyste blankiety. Nazwiska wpisują sami. Mają chyba na oku jakichś Niemców, których da się przekupić. — „Witold” starał się to powiedzieć z pełnym przekonaniem, ale w tę drogę ratunku też nie wierzył. Przekupni Niemcy, owszem. Takich było sporo. Tyle że najprędzej wyłudzą pieniądze i złoto, omamią ludzi nadzieją, a potem razem z paszportami posła ich do gazu. Skoro jednak znikąd nie było szans na bardziej radykalną pomoc, należało próbować wszystkiego. Dlatego z naciskiem powtórzył raz jeszcze: — Trzeba te blankiety koniecznie zdobyć. I to dużą ilość.

— Kto nam je da? Może pan mi powie? — W głosie rabina smutek mieszał się z ironią.

— Stany Zjednoczone mają chyba jakiś wpływ na republikę bananową?

— Stany Zjednoczone mają także wpływ na wiele innych spraw. Są najpotężniejszym państwem na świecie. Tylko, że jest jeden szkopuł: rabin Wise nie ma wpływu na Stany Zjednoczone. — Ukrył twarz w dłoniach, co przez chwilę medytował. — A jak te blankiety mogłyby trafić do Polski?

— Z tym nie powinno być większego kłopotu. Z krajem jest stała łączność radiowa. Samoloty startują z różnych baz, zrzucają pieniądze i broń dla naszego podziemia. Ta droga idzie także pomoc dla organizacji żydowskich. Paszporty zapakują się w kontenery albo worki i ustali punkty kontaktowe — kto i gdzie je odbierze.

Zamiast odpowiedzi „Witold” usłyszał jedynie ciężkie westchnienie. I to był właściwie koniec rozmowy, bo reszta była jałowym lamentem, z którego nic konkretnego nie wynikało.

W drodze do ambasady zle myśli rozproszył mu nieco kupiony w kiosku ilustrowany magazyn „Colliers”. Znalazł tam obszerny artykuł znanego publicysty George’a Creela o działaniach Armii Krajowej, zagładzie Żydów, a także o jego, „Witolda” dramatycznych przeżyciach. Creel niczego z dostarczonych mu materiałów nie pominął, żadnego szczegółu nie przekreślił; zgadzały się fakty, daty, miejsca wydarzeń. Pod publikacją widniała zapowiedź, że dalsze teksty na ten temat ukażą się w najbliższych numerach.

Był to w tym dniu jedyny jaśniejszy moment. Dlatego od pokazania artykułu chciał zacząć swoją codzienną relację. Ale gdy spojrzął na Ciechanowskiego, który siedział za biurkiem jak skamieniały wiedział, że zaraz usłyszy zle nowiny.

— Depesza z Londynu. Przyszła przed chwilą. Niemcy ujęli „Grota” — powiedział ambasador cicho.

Witold opadł na krzesło. — Jak to? — wyrwało mu się bez sensu. Jeszcze nie całkiem to do niego dotarło. Jeszcze nie wierzył. Wydawał się tak potężny. Miał wciąż przed oczami jego mocną postać, stanowcze gesty, spojrzenie, które każdego zmuszało do podporządkowania się rozkazom. Trudno było sobie wyobrazić, że teraz, obezwładniony i bezbronny, zdany jest na mękę i tortury.

— Są szczegóły? — spytał, rozluźniając kołnierzyk koszuli.

— Nie ma. Ale wiadomość niestety pewna. Przekazała ją Delegatura i

Komenda Główna z Warszawy specjalnym szafrem.

— To niemożliwe, niemożliwe. Wydo staną go. Muszą go wydostać. Coś wymyślą. Na pewno coś wymyślą. — Powtarzał te krótkie, urywane zdania tylko po to, żeby coś powiedzieć, żeby nie milczeć. Milczenie wydawało się teraz nieznośne.

W najgorszych snach ani on, ani Ciechanowski, nie mogli przewidzieć, że w niespełna sto godzin później, w tym samym gabinecie i w takiej samej scenarii, porazi ich nadsełana z Londynu kopia depeszy od porucznika Lubieńskiego, szefa Polskiej Misji Morskiej w Gibraltarze.

„Dnia 5 lipca 1943. Godz. 05.00. Błyskawiczna. Ścisłe tajna. Dla Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej od Lubieńskiego z Gibraltarze. Początek. Zawiadamy z najgłębszym żalem, że samolot wiozący generała Sikorskiego z Gibraltarze z powrotem do Zjednoczonego Królestwa uległ katastrofie w morzu o 23.00 przy starcie. Zginęli generał Sikorski i całe jego otoczenie łącznie z panią Leśniowską, generałem Klimeckim, pułkownikiem Mareckim, panem Kulakowskim, porucznikiem Ponińskim, pułkownikiem Czaletem i pułkownikiem Gralewskim, kurierem z Warszawy. Ciało generała Sikorskiego odnaleziono. Inni zabici oczekują identyfikacji. Dalsze szczegóły zostaną przekazane, gdy tylko będzie to możliwe. Pragnę wyrazić głęboki smutek z powodu tak okrutnej tragedii naszego kraju i narodu. Koniec”.

Na gmachu ambasady zawisła czarna flaga, z całego świata zaczęły nadchodzić depesze i listy kondolencyjne. Zmiał codziennych fanfar granych na rozpoczęcie programu radiostacji wojskowej na Bliskim Wschodzie zabębniły żałobne werble. Hołd Sikorskiemu oddawali wszyscy wodzowie koalicji z Churchilllem i Rooseveltem na czele. Nowa polska tragedia znalazła się na czołówkach całej światowej prasy

Wraz ze śmiercią Sikorskiego zamykała się dla Polski historyczna epoka, ściśle związana z jego osobą. Z tego zdawali sobie sprawę wszyscy — wrogowie i przyjaciele. Powszechny żal, który towarzyszył tej stracie, nie osłabiał gorączkowych spekulacji na temat sukcesji. Dekret nominujący naczelnym wodzem generała Kazimierza Sosnkowskiego ukazał się jeszcze przed sformowaniem nowego rządu i nie był właściwie dla nikogo niespodzianką. Spotęwał jednak dodatkowe zamieszanie w kołach politycznej emigracji. Z uznaniem przyjęła ten fakt niemal cała opozycja, ale Brytyjczycy uznali wyniesienie generała Sosnkowskiego za wyraźny gest przeciwko Sowietaom.

Ciechanowski należał do tych, którzy szczególnie ostro zdawali sobie sprawę, jak bardzo różniły się polityczne koncepcje obu generałów. W sejfie ambasady znajdował się ważny dowód, potwierdzający to w całej rozciągłości: depesza Sikorskiego wysłana na kilka dni przed śmiercią z Kairu. Prosił w niej ambasadora, aby zechciał pośredniczyć w uzyskaniu poparcia Roosevelta dla swoich starań o porozumienie się z rządem sowieckim. Bez tego miał ręce dokumentnie związane, choćby ze względu na brak stosunków dyplomatycznych. Był zdecydowany, gdy tylko takie poparcie otrzyma, pokonać wewnętrzne opory i polecieć do Moskwy.

— Niczego nie bał się tak bardzo jak politycznej pustki. Zdawał sobie sprawę, że w zaistniałej sytuacji rozmowa ze Stalinem to gorzka konieczność i że trudno mu będzie przed tym uciec. Męczyła go ciężka rozterka, wciąż do tego tematu wracał — zwierzał się ambasador „Witoldowi”, gdy późno w noc omawiali dalsze plany.

— Kto to zrobił? — powtarzał „Witold” obsesyjnie. — Kto to zrobił? To pytanie wisiało w powietrzu, zdawało się tkwić w każdej rozmowie, nawet, gdy mówiono o czymś innym.

(c.d.n.)



Rycina ALEKSANDER PIENIEK

Ubezpieczenie od nudy

SIEGFRIED KRACAUER: Jacques Offenbach i Paryż jego czasów. Przel. Andrzej Sapoliński. PIW, Warszawa 1992.

To, że biografia Offenbacha jest zarazem wyjątkowo żywym i plastycznym opisem czasów, w których żył, nie może dziwić, zważywszy na osobę autora książki. Zmarły w 1966 roku wybitny niemiecki socjolog kultury i błyskotliwy eseista Siegfried Kracauer, stworzył coś, co nazwał „biografią społeczną” Jacquesa Offenbacha. Jak napisał we wstępie: „(...) jest to biografia społeczna w tym sensie, że wraz z postacią Offenbacha książka ta ujawnia strukturę społeczeństwa, na które on oddziaływał i które oddziaływało na niego, przy czym szczególny akcent spoczywa na związkach między tym społeczeństwem a Offenbachem”.

Zdumiewa wielość poruszanych spraw, przewijających się przez opowiadaną historię postaci. Na pierwszy rzut oka zaskakuje dysproporcja poruszanych zagadnień i wzmiankowanych wydarzeń. Sprawy drobne sąsiadują ze zdarzeniami historycznymi. Jest to oczywiście rezultat przyjętej metody i dążenia do uchwycenia życia w jego ulotnym kształcie. Narodziny kankana sąsiadują z początkami prasy we współczesnym rozumieniu tego słowa. Po dyktującym mody paryskim bulwarze snują się loretki i żurnaliści. Orkiestra Jardín Ture gra walca Offenbacha Rebecca, wykorzystującego „(...) melodie należące do rytuału żydowskiego nabożeństwa” (Offenbach był synem żydowskiego kantora, muzykanta i intrygatora w jednej osobie; nigdy nie

ukrywał swego pochodzenia). Znakomity rysownik August Doré pojawia się w roli projektanta wielu kostiumów do *Orfeusza w piekle* i wchodzi na ręce na bal kostiumowy. Paryż opanowują karnawałowe szaleństwa i rewolucje. Wystawy światowe i kaprysy gwiazd. Hortense Schneider budzi uwielbienie jako Wielka Księżna Gerolstein. Politycy pisują libretta. Przez karty książki przewijają się pisarze i wyrobniicy pióra — często trudno odróżnić jednych od drugich; wielokrotnie rozróżnienie takie nie miałoby sensu. A przede wszystkim świat teatru i operetka Offenbacha — drażniąca i zachwycająca, budząca namiętne spory. „Operetki Offenbacha (...) stały się swoistym zwierciadłem, w którym Drugie Cesarstwo się przeglądało, i zarazem czynnikiem przyspieszającym jego upadek. Między zwolennikami a przeciwnikami tych operetek ciągle na nowo wybuchał spór (...) W roku 1863 pewien niemiecki autor piszący o muzyce poczuł się zmuszony określić muzykę z Orfeusza mianem «muzyki burdelów» (...) Nietzsche natomiast znalazł w buffoneriach Offenbacha «najczystsza formę duchowości»”. Zagorzałym przeciwnikiem operetki był Zola.

Jacques Offenbach był człowiekiem utalentowanym i pogodnym. Zle się czuł w samotności, rozkwitał w towarzystwie. Był urodzonym kpiarzem i parodystą, nie lubił napuszonej

powagi, wychwytywał śmieszności i głupotę ludzi czy instytucji aspirujących do rangi bliskiej świętości, nazyła go polityką. Nie znosił dyscypliny i nienawidził nudy. Demaskował grę szacownych pozorów, których zadaniem było osłanianie pustki czy przeciętności. Mawiał, że chętnie złożyłby towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń od nudy. Był pracowity, lecz z trudem podporządkowywał się narzucanym rygorom. Odczuwał potrzebę niezależności. Lubili go i cenili przyjaciele i współpracownicy. W życiu prywatnym odznaczał się wieloma cnotami kojarzonymi raczej z drobnomieszczanstwem niż z bohemą. Marzył o zdobyciu uznania wielkiej krytyki, która uparcie go lekceważyła; dopiero *Opowieści Hoffmanna* wywołały entuzjastyczne opinie znawców. Schorowany Offenbach nie dożył premiery.

Skłonności parodystyczne Offenbacha znajdowały pełne zrozumienie i spotykały się z aplauzem widzów. „(...) Paryski esprit od dawna skłaniał się do parodiowania wybitnych utworów scenicznych. Obiektem parodii w teatrze Palais Royal stali się na przykład Burgrabiowie Hugo; recytator tasemcowych monologów, w jakie obfituje ta tragedia, od czasu do czasu spoglądał na zegar i zachęcał publiczność do cierpliwości, tłumacząc, że monologi jeszcze się niestety nie skończyły”. Offenbach upodobał sobie parodiowanie konwencji operowych. Ogromną wagę przykładał do libretta i bliskiej współpracy z jego autorem. Wyśmienicie pracowało mu się między innymi z Ludowikiem Halévyem. Sceptycyzm i poczucie humoru Halévy'ego czyniły zeń idealnego partnera dla twórcy offenbachiad.

Czytelnik tej „biografii społecznej” ma okazję obejrzeć poza Paryżem między innymi migawkę z Ameryki — w związku z występami artysty w Nowym Świecie. Pobyt rozpoczął się dość farsowo: „(...) zbliżyła się łódź z muzykami, którzy na powitanie Offenbacha zaczęli grać operetkowe potpourri; nie bardzo im to jednak wychodziło, albowiem wskutek ciągłego kotłowania nabawili się wszyscy choroby morskiej i musieli często pauzować”. Cóż, Karl Kraus zauważył, że w operetkach Offenbacha (mówił konkretnie o *Życiu paryskim*) „życie jest prawie tak nieprawdopodobne jak w rzeczywistości”. Do występów w Ameryce artysta zobowiązał się ze względów finansowych, odbył je — i z ulgą powrócił do Francji. Naprawdę dobrze czuł się jedynie w Paryżu.

Książkę czyta się na ogół dobrze, język przekładu jest dość poprawny. Wątpliwości budzi używanie formy „pogodność” zamiast „pogoda” („przepajając ich pogodnością”), „był uosobieniem tkliwości i pogodności”). Razi — i zdumiewa — zwrot „ubrane za odaliski”. Czyżby ktoś się zdrzemnął?

Jacques Offenbach i Paryż jego czasów Siegfrieda Kracauera to pozycja szczególna. Napisana w sposób przystępny, z humorem, zawierając wiele ciekawych informacji, stanowi jednocześnie interesującą lekturę — od pierwszej do ostatniej strony. Kracauer udowadnia, że będąc poważnym autorem, nie musi się wcale być autorem nudnym.

Niezwykle trafnie dobrane jest motto z Baudelaire'a: „Niech się czytelnik nie gorszy tą powagą frywolności...”

Justyna Zarzycka

Poruszyć sumienie

ELIE WIESEL: Pieśń umarłych. Opowiadania. Tłum. Małgorzata Tomicka. Ossolineum, Wrocław 1991.

Pieśń umarłych — pod takim tytułem pojawił się ostatnio w krakowskich księgarniach zbiorek kilkunastu opowiadań i esejów Elie Wiesela. Wydarzenie warte odnotowania chociażby z tego powodu, że utwory autora, laureata Pokojowej Nagrody Nobla, po raz pierwszy w Polsce doczekały się wydania książkowego. Do tej pory były drukowane tylko fragmentarycznie, rzadko i w nielicznych pismach, w „Tygodniku Literackim”, w „Znaku” oraz w tegorocznym „Kalendarzu Żydowskim”.

Autor — Żyd z rumuńsko-węgierskiego miasteczka, więzień obozów w Oświęcimiu i Buchenwaldzie — należy do pokolenia pisarzy, którzy przeżyli czas zagłady i swoim piórem chcą dawać świadectwo wydarzeniom holocaustu, a tym samym przeciwstawiać się ich odejściu w zapomnienie. Czyniąc ten właśnie temat dominantą własnej twórczości, Wiesel kieruje się z jednej strony solidarnością z narodem, który nigdy „nie był bardziej osamotniony” aniżeli w latach ostatniej wojny, utożsamia się z jego cierpieniem, występuje jako obrońca jego racji oraz prawa do bycia właściwie zrozumianym przez nieżydowski świat. Z drugiej jednak strony Oświęcim jest dla niego symbolem drzemającego w ludziach potencjalnego zła, mogącego ujawnić się kiedyś w skali ogólnoswiatowej. Dlatego też pamięć o nim powinna być ciągłym ostrzeżeniem.

Pisanie jest dla autora niniejszego zbiorku — podobnie jak dawniej dla Adolfa Rudnickiego a obecnie dla Henryka Grynberga — moralnym obowiązkiem, które należy spełnić wo-

bec zmarłych i żyjących, a także „rodzajem macewy, niewidzialnym pomnikiem nagrobnym wzniesionym ku pamięci niepoprzebanych”. Jest to obelisk zbudowany ze wspomnień i słów, z których każde odpowiada „jednej twarzy, jednej modlitwie”. Według tej zasady skonstruowane są opowiadania. Skupiają się one wokół konkretnych postaci: zapamiętanych z dzieciństwa, spotkanych w obozie, poznanych przypadkowo w życiu, najczęściej tych, które swoją niepowtarzalnością zafasynowały dziecko a później młodzieńca.

Pojedyncze ludzkie losy stanowią punkt wyjścia dla wspomnień opartych na autentycznych faktach z własnego życia. Poza holocaustem, który jeżeli nawet nie jest głównym motywem jakiegoś opowiadania, to z całą pewnością będzie występował gdzieś w tle, Wiesel opowiada o świecie wschodnioeuropejskich Żydów, o ich kulturze, obyczajach i wierzeniach. Te ostatnie konfrontuje z rzeczywistością wojenną. Oczekiwany prorok Eliasz przybiera postać „polskiego Żyda uchodźcy, który zbyt wiele razy i zbyt blisko oglądał zwycięstwo śmierci nad człowiekiem i jego modlitwą”. Oprawca przybywa przed Mesjaszem, a współczesna pesachowa Hagada nie jest już budującą opowieścią o zwycięskim wyjściu Izraela z Egiptu, lecz o ponoszonej przez niego klęsce: Bóg nie ingeruje w historię, Mojżesz dawno umarł, natomiast z martwych powstał faraon i prowadzi „wieczny naród” w ogień krematoriów.

Tożsamy z autorem narratorem przeżywa psychiczne konsekwencje doświad-

czeń holocaustu w swoim obecnym życiu. Egzystuje na granicy przeszłości i teraźniejszości, świata zmarłych i żyjących. Jego teraźniejszość wypełniona jest myślowymi i fizycznymi znakami wojennej i obozowej przeszłości. Kolejne rocznice śmierci ojca stają się dla niego źródłem wspomnień z obozu Buna-Werke w Monowicach. Jadąc autobusem w Tel-Awivie spotyka swojego oświęcimskiego kapo i wytaża mu wyimaginowany proces sądowy, wzorowany na słynnym procesie Eichmanna. Poczucie bezpieczeństwa i atmosferę rodzinnego domu odnajduje dopiero wśród cmentarnych nagrobków. Ma świadomość, że przestrzeń wokół niego wypełniają zmarli — rozłączają nad nim swoją władzę, oceniają jego słowa, obwiniają go o zapomnienie śpiewu hebrajskich modlitw.

Tytuł tomiku, spełniający rolę hasła wyzwalającego skojarzenia, odsyła do żydowskiej modlitwy za zmarłych — kadisz (we francuskim oryginalnie tytuł brzmi: „Kadish, le Chant des morts”). Następuje tu jednak istotne przesunięcie znaczeń — nie jest to pieśń za zmarłych, lecz pieśń umarłych. Można więc interpretować go wielorako. Przede wszystkim jako słowa pamięci słusznie należące się pomordowanym. Można przyjąć także inne tłumaczenie — to zmarli, stale żyjący w autorze, jego ustami wyśpiewują swój kadisz. Lub jeszcze inaczej — przemawiają nieobecni wśród żywych, bo tylko oni noszą w sobie pełną prawdę o zagładzie, prawdę wciąż niepojętą dla żyjących. W tekście opowiadań każda z tych interpretacji znajduje swoje uzasadnienie.

Pieśń umarłych jest pieśnią zwątpienia i totalnego buntu. Przeciwno Bogu, który nie zareagował nawet w ostatniej chwili, jak oczekiwali ufający w Jego wszechmoc i opiekę, oraz przeciwko ludzkości: oprawcom w hitlerowskich mundurach, politykom, którzy swoim milczeniem i brakiem zdecydowanego działania zezwolili na zbrodnię, zwykłym ludziom zachowującym obojętność, a także wsłotcznym, pragnącym zapomnieć o Żydach

i Shoah. Obraz świata w opowiadaniach Wiesela jest pesymistyczny. Ciąży nad nim trudna do wypowiedzenia samotność ginących przypadkową śmiercią. Nikt nie chce o niej pamiętać, bo pamięć niesie ze sobą poczucie winy i czyni człowieka współodpowiedzialnym. Brak tutaj również gestów ludzkiej dobroci i poświęcenia. Dlatego z jednej strony opowiadania te rzeczywiście wywołują współczucie dla pomordowanych i dla żyjących z piętnem przetych wydarzeń, z drugiej jednak (przede wszystkim pełne gorczy fragmenty eseistyczne) mogą budzić sprzeciw wobec niektórych, pozabawionych obiektywizmu, tez autora. Trudno przecież z nim się zgodzić, gdy, zapominając o działalności rządu Vichy, stawia Francję w szeregu państw najmniej antysemitycznych, najskuteczniej ratujących Żydom życie oraz gdy stwierdza, że obozy zagłady powstały w Polsce na skutek panującego tu szczególnego nasilenia nastrojów antyżydowskich. Z jego punktem widzenia polemizuje autorka. *Przedmowy* do zbiorku Teresa Prekerowa

W stan oskarżenia postawiony zostaje także Bóg. Widziany oczami ocalałych jawi się jako ten, który „działa zawsze z opóźnieniem”, jako „nieprzyjaciół, okrutny i nienasycony oszust”. W takim kontekście kadisz przybiera odmienne od tradycyjnego znaczenie — jest znakiem bezsilności człowieka, który chwalać Stwórcę, w rzeczywistości oskarża Go i rzuca Mu wyzwanie. Modlitwa uwielbienia przezeń krzywdzonych ma poruszyć Jego sumienie.

Boagctwo wspomnień zostaje dopelnione dialogiem autora z czytelnikiem oraz z samym sobą. Padają pytania, które do dzisiaj przewijają się w dyskusji nad holocaustem i nurtują wielu. Wiesel próbuje udzielić na nie odpowiedzi, wyraża wiele wątpliwości i snuje domysły. Ma jednak świadomość, że dotarcie do prawdy nie jest możliwe. Jednych oddziela od niej gorzkość i wciąż intrząca się rana, drugich — brak pokory i „przesadna pycha wszystkich wiedzących”. Prawda okryta jest tajemnicą, którą mogłoby odsłonić jedynie umarli.

Joanna Wysiecka

IDEOLOGIA POŻERA WŁASNE WNUKI

MONIKA MARON: Stille Zeile Sechs (Ulica Stille Zeile sześć). S. Fischer, Frankfurt/Main 1991.

W literaturze niemieckiej pojawił się znowu ważny — polityczny — temat: „przetrawianie” eneradowskiej przeszłości (jak gdyby można było ją ostatecznie strawić i tym samym uczynić niebyłą). Zachodniomiejscy autorzy, podejmujący ten temat, ograniczają się na razie do politycznej eseistyki, dzielącej się na dwa nurty: w jednym już teraz daje się wyczuć żal za zaprzepaszoną szansą tzw. „trzeciej drogi” pomiędzy kapitalizmem a realnie istniejącym socjalizmem; drugi zaś zadowala się — czasem neutralną, czasem radosną — konstatacją, iż oto padła kolejna lewicowa utopia. Autorzy wschodniomiejscy, wydalenii swego czasu z NRD i pozbawieni obywatelstwa tego państwa, oddają się często rozważaniu własnej, niekiedy bardzo bolesnej, biografii pisarza w socjalizmie, na którego strażą stała wszechwładna STASI (SB), dokumentująca swą działalność z niebywałą dokładnością. Tej ilości akt nie sposób ogarnąć i zweryfikować do końca, choć niektórzy pisarze, jak np.: ERICH LOEST lub REINER KUNZE, próbowali z tej ogromnej masy spadkowej coś wyłowić i opublikować [por. Kunze: *Kryptonim poezja*, w: „Odra” 10 (1991), str. 30—35]. Ten punkt widzenia miał do momentu otwarcia owych archiwów swoją polityczną i moralną rację, jak dotąd jednak nie zaowocował próbą rzetelnego pisarskiego rozrachunku z przeszłością.

Wyjątkiem jest tutaj najnowsza powieść MONIKI MARON, która ukazała się jesienią 1991. Autorka podejmuje w niej problem winy „eneradowskiej” generacji ojców i współwiny ich synów — a jest to wina i współwina, wynikająca z przykładania ręki do marnowania ludzkiego życia na eksperyment zwany „komunizmem”. Owa wina jawi się w powieści nie tyle poprzez represje i aresztowania, dokonywane z powodów politycznych, ile raczej poprzez zanik międzyludzkiego ciepła, kureczenie się przestrzeni życiowej i brak wszelkich perspektyw. Dominacja ideologii ojców pozbawia narratorkę występującą w pierwszej oso-

bie możliwości ustalenia, o jakim właściwie życiu marzyłaby dla siebie. Z tego też powodu życzy ona śmierci całej generacji ojców, stwierdzając: „Dopiero wówczas, gdy ich dzieło dla nikogo już nie byłoby nietykalną świętością, gdy jedynym kryterium, które zadecyduje o jego dalszym trwaniu lub zepchnięciu w niepamięć byłaby wyłącznie jego przydatność, dopiero wówczas byłabym zdolna ustalić, co chciałabym uczynić treścią swego życia. Ale właśnie wtedy będzie już dla mnie za późno”. Dlatego nawet po śmierci Beerenbauma, przedstawiciela owej generacji ojców, nie udaje się narratorce wyjść z cienia tamtej ideologii, wciąż zatruwającej jej egzystencję.

Jest rok 1985 w Berlinie Wschodnim, stolicy NRD. Historyczka z wykształcenia, Rosalind Polkowska, znana czytelnikom z wcześniejszej, opublikowanej w 1986 powieści Moniki Maron pt. *Die Überläuferin* (*Prozelitka*), dostrzega nagle, że „wynosi swoje jedyne życie codziennie do Instytutu Barabasa niczym odpady kuchenne do śmietnika. Postanawia zatem, że nie będzie odtąd więcej myśleć za pieniądze i zwalnia się z pracy w Instytucie Historii Ruchu Robotniczego. Nie bardzo jednak umie się znaleźć w swej nagle odzyskanej wolności, nie udaje się jej wyjść poza sferę planów. W tej sytuacji pewnego zawieszenia spotyka dawnego niezwykle wpływowego aparatużyka, Beerenbauma, który proponuje jej pracę: Rosalind ma mu pomóc w pisaniu jego pamiętników, jego bowiem prawa ręka wskutek zmian chorobowych drży nieustannie. Rosalind wyraża na to zgodę, stawiając jednakże warunek: odda do dyspozycji wyłącznie swe ręce, nie swoją głowę.

Tym sposobem w nowe życie Rosalindy wkracza nowa regularność: dwa razy w tygodniu pojawia się u Beerenbauma, który dyktuje jej swój nienagannie socjalistyczny zyciorys, w swym zasadniczym zrybie dobrze znany zarówno wschodniomiejckim jak i polskim czytelnikom. Beerenbaum dotrzymuje umowy i nie żąda od Rosalindy współmyślenia, zadowolając się czysto manualną przysługą. W niej jed-

nakże z czasem coraz silniej narastał sprzeciw i chęć polemiki z akceptowanym przez Beerenbauma drapieżnym totalizmem ideologii, sprzeciw skupiający się w pytaniu o winę ludzi politycznie aktywnych. W końcu Rosalinda rzuca Beerenbaumowi w twarz to pytanie. On usiłuje początkowo zbyć je kilkoma wytartymi komunistycznymi frazesami — jednakże bez powodzenia. Impet zaś Rosalindy wprawia go w tak wielką irytację, że dostaje ataku serca, który stanie się przyczyną jego śmierci.

W te pozornie czysto polityczne rozważania o zasadności komunistycznego eksperymentu wplatają się również wspomnienia Rosalindy o ojcu, z którym stosunki były jednym wielkim konfliktem. Rosalinda odnajduje w Beerenbaumie niektóre cechy ojca i to te właśnie, które uniemożliwiały im wszelkie porozumienie: strach samouka przed pogardą otoczenia z powodu zawinionych wojną braków w wykształceniu, wiara w konieczność wychowania społeczeństwa w duchu nowej ideologii i wspólna im obu niezdolność do nawiązania kontaktów czysto ludzkich, wolnych od ideologicznych motywów. Te cechy charakteru ojca uznaje Rosalinda za główną przyczynę pustki własnego życia. Przeciwno nim też zwraca się w swym zmaganiu z Beerenbaumem tak gwałtownie, że musi — przynajmniej moralnie — przyjąć na siebie część winy za jego śmierć. Ta śmierć nie spowoduje jednakże w życiu Rosalindy żadnej spodziewanej odmiany. Duchowe panowanie generacji ojców trwa niezachwianie dalej poprzez pamiętniki, które Beerenbaum zdążył Rosalindzie zapisać w testamentcie.

Monika Maron, której ojczym, Karl Maron, jako minister spraw wewnętrznych należał do elity władzy w NRD, podejmuje w swej powieści dwa ważne wątki, znane jeszcze z epoki ekspresjonizmu niemieckiego: po pierwsze problem winy koniecznej, wynikającej z samego faktu działania, co było już u — cytanego zresztą przez Monikę Maron — ERNSTA TOLLERA przedmiotem literackich dociekań; po drugie, problem dramatycznego konfliktu ojców—synów, w którym przegrywa syn, pozbawiony wszelkich perspektyw życiowych. Ów konflikt pokoleń pomiędzy rodzicami i dziećmi przedstawia Maron — podobnie jak

niemiecki ekspresjonizm — na kanwie sporu nie o sprawy zasadnicze, ale raczej — mało ważne. Lekceważenie dziecka przez ojca zilustrowane będzie za pomocą epizodu, w którym ojciec wrzuciwszy w siebie ze smakiem sporą ilość kremu cytrynowego, przyrządzanego przez córkę, nie pomyśli przez moment nawet, by jej za ten gest podziękować. Podobnie w opowiadaniu LEONHARDA FRANKA *Die Ursache* (*Przyczyna*) wychowawca odmówi dziecku szklanki mleka. Dziecko to później, jako dojrzały człowiek, będzie zmierzać niejako podświadomie do zamordowania swego dawnego nauczyciela, niezdolne oprzeć się temu wewnętrzny przymusowi. Rosalind Polkowska zachowa zdolność do refleksji i kontroli swoich czynów. Beerenbaum dusi jedynie w myślach, w swojej wyobraźni. Niemniej ponosi moralną odpowiedzialność za jego śmierć.

Książka Moniki Maron jest z uwagi na podjętą tematykę bardzo niemiecka — mamy znów problem dominacji ojca, kwestię współwiny synów i winy, którą jest wszelkie polityczne działanie oraz walka o sens życia. Maron operuje piórem z imponującym mistrzostwem. Buduje fabułę jakby według modelu *Homo Faber* Maxa Frischa: z retrospektywnych skojarzeń, przywoływanych chronologicznie w trakcie zasadniczego zdarzenia — poگرهبu Beerenbauma. Piękno stylu, równomiernie rozlane na cały tekst, chroni powieść przed doraźnością szybko przemijającej polemiki.

Te artystyczne walory skłoniły też zapewne jury do wyróżnienia książki Nagrodą Braci Grimm, którą miasto Hanau przyznaje co dwa lata za szczególne wartości językowe dzieł literackich.

Jednak nie tylko poetyckość i ujmujące piękno stylu czynią tę książkę wartą przeczytania. Jej problematyka, choć nam dostatecznie znana, zasługuje również na uwagę. W czasach, w których można by ogłosić ostateczny zmierzch wszelkich ideologii, należałoby ze szczególną mocą przypominać ich niszczycielski wpływ, tym bardziej, że trwa on w nas nadal.

Ursula Kiermeier

Ulica Stille Zeile sześć

(fragmenty)

Monika Maron

Gotując zupę pomyślałam sobie: jak dobrze byłoby być kotem, zamiast wieść to pieskie życie. Wyżyłabym się jakoś; za darowany kęs wystarczyłoby uprzejmie podziękować i można by chadzać dalej własnymi drogami. Dostrzegłam przez okno kuchenne sześć czarno-białych kotów, które ułożyły się kołem na trawniku spoglądając na siebie. Widziały w tym jakiś sens. Siedziały tak sobie bezinteresownie, podczas gdy ja wysiadywałam w Instytucie Badawczym Barabasa w ciasnym pokoiku o powierzchni 8 m² za pieniądze, wmagając sobie, że ogromnie mnie interesuje druga konferencja partyjna saksońskich komunistów z roku 1919. Konferencja ta musiała mnie interesować za pensję, którą wydawałam na kiełbaski, a nimi karmiłam koty, aby te z kolei mogły się wieczorami wylegiwać bezinteresownie na trawniku, podczas gdy ja siedziałam przy oknie kuchennym, jedząc wolno słonawy rosół. Następnego ranka powinienam jak co dzień dokładnie od 7.45 do 17.00 pod czujnym okiem Barabasa i jego służusów wynajmować znowu swój umysł za pensję. [...]

Następnego ranka nie wstałam jednak jak zwykle. Pozostałam w łóżku, obserwując, jak słońce wspina się wyżej i wyżej nad naszą ulicą, przeciskając się przez liście drzew, rosnących pod moim oknem, aż na moją poduszkę. ... Powoli, jakby od niechcenia, dojrzało w mojej głowie postanowienie: Nie będę już więcej sprzedawać

myśli za pieniądze. Resztę dnia spędziłam w łóżku. [...]

Moje kłopoty finansowe nie byłyby wystarczającym powodem, by dać się użyć w miejsce drżącej nieustannie prawej ręki Beerenbauma i pójść na służbę człowieka, który jeszcze przed trzema laty miał wielką władzę. Wprawdzie przypuszczałam, że wiek i upływ czasu złagodzą nieco jego poglądy, a jego retoryka przywiedzie zapewne jak błony słuzowe jego krtani, jego zaś niezłomność w miarę wapienia kregosłupa stawała się równie krucha, bo i jego władza popadała powoli w zapomnienie wraz z całą tą wymierającą generacją. [...]

Nigdy nie odczuwał pan żalu po towarzyszach, którzy mieszkali w hotelu „Lux” (w Moskwie) w bezpośrednim pana sąsiedztwie? ... Nigdy nie próbował się pan dowiedzieć, co stało się z tymi towarzyszami, których w tym hotelu nocą wywleczono z łóżek? ... Nie obawiał się pan, że którejs nocy przyjdą i po pana lub po pańską żonę, tak jak zabrali żonę Ericha Mühsama lub Alice Abramowitz, która wycinała potem drzewa na Syberii i przeżyła — wróciła jako inwalidka. Czy widział się pan potem z towarzyszką Abramowitz? ...

I co miał jej pan do powiedzenia? Czy powiedział jej pan to, co jej syn, gdy wolno jej go było wreszcie po piętnastu latach zobaczyć? On nie odezwał się bowiem do niej wcale, bo uwierzył w to, co wpojono mu jeszcze

dzieciną rymowanką: że jego matka była szpiegiem hitlerowskim. [...]

Usiłowałam sobie wyobrazić, jak mu ostrożnie, acz z trudem wyjaśniam, że istniejące — również te przez niego stworzone — okoliczności zmuszają mnie do tego, aby mu życzyć śmierci. Wolalabym móc mu powiedzieć, że jego śmierć jest mi obojętna, albo że budzi we mnie współczucie; i żeby nie sądził, iż nie budzi mojego wzruszenia jego miłość do Grety, która przetrwała 15 lat oczekiwania, lub że obojętny jest mi strach, który musiał go prześladować w hotelu „Lux”. Więcej nawet, powędziłabym: chciałybym być dumna z pana, jako jednego z tych, którzy mieli odwagę przeciwstawić się hitleryzmowi i nie poddać się tchórzostwu. Chciałabym, ale tak naprawdę musiałabym niestety powiedzieć, że mimo to życzyć mu śmierci; ponieważ pan zagrabił mi wszystko, czego potrzebowałam do życia: dom, ulicę, każdy skrawek papieru do pisanja i moje myśli — niczego już pan z ręki nie wypuścił. Pan zmusza mnie do postawy najobrzydliwszej: aby życzyć komuś śmierci. [...]

Rosalinda pochyliła się do przodu, opierając ręce na klawiaturze maszyny do pisania. Z każdą wykrzykiwaną sylabą wyrzucała głowę

do przodu niczym szczekający pies. Konfiskowaliście mózgi! Konfiskowaliście je, bo wam własnych nie starczało. W następnym stuleciu wymowalibyście je pewnie z czaszek operacyjnie i wieszali niczym bieliznę na sznurach, aby oszczędzić na kosztach więzienia. ... Opierając się na zdrowej ręce Beerenbaum spróbował raz jeszcze podnieść się z krzesła. [...] Rosalinda, z twarzą zniekształconą wściekłością nie do poznania, wykrzykiwała: — Nie wiemy nic, bo nie było nam wolno żyć. Wasze własne życie wam nie wystarczało, było zbyt marne, okradliście zatem i nas z życia, niczym kanibale i handlarze niewolników, wspierani przez hordę katów.

Beerenbaum zmarł w trzy dni po moich odwiedzinach w szpitalu. O jego śmierci dowiedziałam się z gazety. Ostatnim obrazem, jaki zapamiętałam z wizyty w szpitalu był Beerenbaum z otwartymi, bezzębnymi ustami, ukazującymi język jakby pokryty pleśnią i oczym z wyblakłą i przezroczystą tęcza, przypominające dwa otworki wodące do jego głowy. Oraz jego reka, która niczym białoskóra jaszczurka wyskoczyła nagle spod kołca łapiąc w swą rozdziawioną paszczę mój biust. Odczułam to tak, jakby ktoś dotknął mojego obnażonego serca. Później próbowałam mówić sobie, że pewnie usiłował mnie złapać za rękę lub ramię i tylko skutek osłabienia chybił celu.

Przełożyła

Ursula Kiermeier

Andrzej Chciuk (1920—1978) po przekroczeniu granicy węgierskiej w 1940 roku opuścił Polskę na stałe. Po latach spędzonych na okupowanej najpierw ziemi francuskiej, jedenaście lat później osiedlił się w Australii. Spory dorobek prozatorski Chciuka cieszył się uznaniem emigracyjnych czytelników. Krytycy przyznali mu nagrodę literacką, którą otrzymał wspólnie z Leo Lipskim w 1955 roku. Jako znawca i surowy sędzia Polonii rozsianej po świecie, marzył o stworzeniu wielkiej powieści emigracyjnej, zdolnej konkurować z genialnym dorobkiem romantyzmu polskiego na obczyźnie.

Jeżeli ten zamiar pisarza trudno uznać za spełniony, to bez trudu można emigracyjnych „Towarzyszy z Bezpieczeństwa” przeczytać jako antidotum na krajowego „Bołdyna” z 1969 roku

Jak wiadomo, Jerzy Putrament fetował wówczas w PRL za tę właśnie powieść o „kulcie jednostki”, bynajmniej owego kultu nie potępiał. Odwrotnie, z wyrozumiałością przedstawił „studium psychiki ludzkiej poddanej wielkim przeciążeniom — władzą, odpowiedzialnością”, co widnieje na obwolucie drugiego wydania książki.

Towarzysze z Bezpieczeństwa. Powieść, *daj Boże, historyczna* tematycznie łączy się z dziełem Stanisława Wygodzkiego *Zatrzymany do wyjaśnienia*. Spokrewnia te powieści podobieństwo czasów fabularnych i rodowody ideowe głównych postaci (uczestnictwo w wojnie hiszpańskiej po stronie Republiki, autentyczne przywiązanie do powojennego programu partii w Polsce Ludowej itp.).

Bohater *Towarzyszy...* Kamil Jarkowski, wybitny architekt, który po ucieczce z łagru i chludnej przeszłości partyzanckiej z powodzeniem kierował odbudową Mariensztatu, stał się jeszcze bardziej wyrazistą ofiarą bezprawia UB. O ile jednak komunista Wygodzki zbudował swoje odwilżowe dzieło tak, aby ocalić bodaj odrobine nadziei na oczyszczenie wyznawanej ideologii z potwornych nadużyć, to Andrzej Chciuk pozostał pod tym względem najdalszy od jakichkolwiek złudzeń.

Fabula *Towarzyszy z Bezpieczeństwa* ułożona została z długiego pasma nieszczęść (a w ostateczności — śmierci) mężczyzn i kobiet wierzących w komunizm, pomimo zbrodniczych metod „jego „urzeczywistnienia”. Szczególnie — w przedwojennym i powojennym Związku Radzieckim, kiedy zawiądnął duża część świata.

Książka Chciuka jest jednoznacznie antykomunistyczna w emigracyjnym sensie tego określenia

Oznacza to, w tym przypadku, daleko posuniętą zbieżność powieściowej frazeologii politycznej z retoryką i uzasadnieniami zachodniej orientacji demokratycznej, wrogiej komunizmowi zwłaszcza w jego wschodnioeuropejskim zastosowaniu. Owa zbieżność przejawia się wyraźnie w monologach postaci oceniających skutki wprowadzenia komunizmu w Polsce i sąsiednich krajach. O zbieżności tej świadczy np. wypowiedź polskiej Żydówki, przedwojennej komunistki, która przeżyła zysk do Kazachstanu, potem jako sanitariuszka służyła w armii generała Andersa, a po wojnie pozostała w Paryżu. Dzieje własne i gehennę setek tysięcy obywateli polskich deportowanych do łagrów sowieckich stawia ona jako argumenty w sporze ideowym, który przeprowadziła z pracownikami ambasady PRL w stolicy Francji:

„Czy kontrrewolucjonista był stary emeryt, nauczyciel Szczygieł, który w Czajhancie z głodu jadł ziemię i umarł w więzieniu? Czy groźną dla ustroju sowieckiego była harcerka Zosia? A inni? A Katyń? A łagry? A pozostawienie walczącej Warszawy na śmierć z ręki Niemców (...) A pakt Ribbentrop-Mołotow? A rozwiązanie KPP i wykończenie naszych w czystkach? Czy roz-

wiązanie KPP nie było przygotowaniem do czwartego rozbioru? Czy wy tego nie rozumiecie?”¹⁾

Mamy tu do czynienia z pełnym repertuarem najcięższych przestępstw politycznych i win popełnionych w imię racji totalitarnego ustroju, win bezustannie przypominanych światu „przed wszystkim w emigracyjnej publicystyce. Tymczasem w kraju, do którego powrócił Kamil, trwały coraz ostrzejsze prześladowania „zapłutych kariów reakcji”, zgodnie więc z prawdą historyczną Andrzej Chciuk wymyślił akcję epilogu *Towarzyszy z Bezpieczeństwa* tak, by rozegrała się ona w kazamatach bezpieki. Nieskazitelnego bohatera powieści stortrowano psychicznie, z wybitnymi zębami, bez paznokci, nieprzytomny z głodu zostaje zastrzelony w ce-

lony tego wyobrażenia uformował twórcą *Towarzyszy z Bezpieczeństwa* głównych oprawców w swoim utworze: żydowski intelektualista, majora Orłowskiego i pułkownika Badurę, urodzonego w pałacu jaworowskim obok Lwowa z matki Wittelbachówny o świetnych parantelach europejskich. Andrzej Chciuk posługuje się stereotypami. Robi to jednak świadomie i przynajmniej w kilku miejscach tekstu otwarcie eksponuje ich standardowe składniki. Służą temu celowi narracyjne wtręty luźno powiązane z planem fabularnym, ale demonstrujące samowiedzę fikcyjnych postaci, np. o tym, kto wykończył Nowotkę, a przedtem czołówkę KPP, dlaczego Sowietci krzewią antysemityzm i kto zorganizował pogrom kielecki.

tycznych założeń naukowego socjalizmu, który obiecywał udrczonej społeczności zniesienie wyzysku, powszechną sprawiedliwość, równość, wolność i samorealizację w pracy. Wydaje się, iż Chciuk z pasją komponował różnorodne epizody polityczne i także same ty-rady akolitów oraz adwersarzy ustroju powojennej Rzeczypospolitej tylko po to, aby zadać retoryczne pytanie: Czy to jest bodaj namiastka socjalizmu?

Postąpił więc inaczej niż krajowi twórcy prózy rozrachunkowej. Oni nie śmieli, nie umieli atakować pryncypiów. Wierzyli bądź tylko udawali na forum publicznym, że wierzą w czyste, nieskażone źródła ustroju, który jest dobry. A byłby jeszcze doskonalszy, gdyby nie gruziński demon Dżugaszwili-Stalin oraz błędy i wypaczenia międzynarodowej wspólnoty przywódców komunistycznych naśladujących sekretarza generalnego.

Przeciwnicy komunizmu w *Towarzyszy z Bezpieczeństwa* krytykują nie tylko okrucieństwa popełniane w jego imieniu, ale przede wszystkim utopijne i zakłamanie pryncypia niemożliwe do spełnienia nawet w świecie naprawdę wolnych ludzi, tak jak niemożliwy jest raj na ziemi.

Chciuk w przeciwieństwie do Wygodzkiego, Kwiatkowskiego albo Stanucha nie mamili nikogo, że stalinizm to jedynie uciążliwa gorączka zasadniczo zdrowego organizmu, który odżyje, kiedy oczyści się ze zbrodni

Jego zastanawiał polityczny sens istnienia komunizmu i ogólne skutki aplikowania tej doktryny. Opisywał bowiem dwudziestowieczny świat według jałtańskich linii podziału: jako miejsce zmagania oraz wpływów wzajemnych pomiędzy „partokracjami” Wschodu i kapitalizmem Zachodu, a także pomiędzy zniewolonym krajem i skłóconą emigracją. Tak myślą o współczesności w książce Andrzeja Chciuka bohaterowie o nieposzlakowanej przeszłości i autorytecie moralnym. Jeden z nich, wiezień bezpieki, wyzbyty złudzeń co do owych formacji ekonomiczno-politycznych rozważa ich racje i perspektywy następująco:

„Pojęcie kapitalizmu i złydy socjalizmu dobre były sto lat temu, za Marksa, ale nie za Stalina. Ukapitalistyczniliście socjalizm, a związki zawodowe usocjalistycylnili kapitalizm, nie ma więc już sensu operowanie tymi pojęciami z czasów Marksa, są one już dziś bez pokrycia, uległy zmianie. I jedynie wy nie chcecie tego przyznać”²⁾.

Ale i stan posiadania społeczeństw nierównie wyżej ucywilizowanego Zachodu nie pozwala żywić złudzeń bezstronnemu obserwatorowi:

„Tylko dobrobyt i słowa o wolności. Jakkolwiek obrona wolności jest sama w sobie ideą najbardziej atrakcyjną i piękną. Zachód nie umie ucieleścić tej idei, nie umie jej sprzedać masom. Co zyskują Amerykanie za pomoc dla krajów wyniszczonych wojną? Tylko niechęć. Zachód w sumie — broni jedynie swego dobrobytu”³⁾.

Tak uniwersalnie zakrojone wymiowanie sprawiedliwości widzialnemu światu nie mogło pominąć bolesnego położenia i obyczajów polskiej emigracji. Bez wątplenia, zasłużonej dla sprawy nieszczęśliwego narodu, ale też małosłowej, rozdzieranej waśniami, ulegającej demagogom, zaskorupiałej w kręgu nawyków i mitologii anachronicznych.

Cóż tedy pozostało niezależnemu z antypodów, kiedy desperacko wymiar-kował, że sama emigracja nie może odnieść politycznego zwycięstwa pomimo tylu lat zmagania na polach bitewnych i w gabinetach dyplomatycznych? Wydaje się, że Andrzej Chciuk postanowił właśnie stamtąd, z Melbourne upominać wszystkich uczestników naszej diaspory:

„Emigracja to sprawa moralności i protestu (...) przekazać ten protest tak, by zeń wynikało coś trwałego i wzbogacającego życie narodu, a nie tylko taksówki i wędwile z byłymi szabskapitanami”⁴⁾.

Uwzględniając stopień skrepowania i determinacji polskich twórców powieści rozrachunkowych popadamy w kłopoty wynikające z tłumaczenia zawartości powieści ich genety. Zderzenie wiedzy autorów o sprawach, które stały się tematami ich twórczości z podobną wiedzą czytelników, albo konfrontacja poetyki z pozaliteracką rzeczywistością polityki nie jest wszakże najważniejszym kryterium oceny tych powieści. Wzrost społecznego popytu na literaturę prokuratora, jaki daje się odczuć w chwilach przełomów politycznych,

EMIGRACYJNE ROZRACHUNKI ZE STALINIZMEM po 1956 r. (cz. III)

Andrzej Chciuk:
„Towarzysze z Bezpieczeństwa.
Powieść, *daj Boże, historyczna.*”

Londyn 1970

Stanisław Gawliński

Il przez majora UB Orłowskiego, czyli byłego studenta filozofii Ezechiela Schlechtera.

Dla zrozumienia aksjologii książki Chciuka duże znaczenie mają dwie różne drogi i dwa związane z nimi losy ludzi dopadniętych przez komunizm. Droga Klary z Polski przez ZSRR na Zachód i droga Kamila z Zachodu na powrót do Polski symbolizują złowieszcze skutki totalitarnej ideologii tym bardziej niszczycielskiej, im bliższej Kremla. Decyzje i rozkazy płynące stamtąd na wszystkie kontynenty dają autorowi *Towarzyszy z Bezpieczeństwa* podstawy sądenia, iż komunizm to przede wszystkim zorganizowana tyrania. Konkretyzacji owego przesłania służą wszystkie trzy części powieści.

Część środkowa traktuje o wewnętrznych mechanizmach Urzędu Bezpieczeństwa i cechach socjopsychologicznych jego funkcjonariuszy.

Chciuk nie ograniczył się tylko do fabularyzowania całej wiedzy o tych, których dekadę wcześniej niż Toruńska nazwał tutaj „Onymi”

Dla znacznej części zachodniej, a szczególnie emigracyjnej opinii publicznej genety tego aparatu represji załatwiał stereotyp „Żydokomuny” i „arystokratycznych” kolaborantów bezpieki. Arcywzór tych ostatnich na zawsze zrosł się z rodowodem i działalnością Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego. We-

O to jak major Schlechter informuje dyplomata Scholza, swojego szwagra, o kulcach tych odrażających mordów politycznych:

„A wiesz, po co nasi radzieccy doradcy to wykombinowali? Żeby pokazać, że Polacy sami nie opanują terenu. Bo wiesz, kto tłumil te rozruchy antysemickie wywołane przez Urząd Bezpieczeństwa? Bracia Rosjanie. A wiesz, kto dostał po kulach? Nie te Żydy, co są na stanowiskach — nie Berman, nie Zambrowski, nie ty i nie ja — ale te bidne Żydki, co się leczyły w schronisku powróciwszy z obozów i wędrowek...”⁵⁾.

Wiedza tego rodzaju, poza specyfiką wysłownia, niewiele różni się od rewelacji pułkownika Józefa Światły, który 5 grudnia 1953 roku uciekł do Berlina Zachodniego po paru latach działalności w Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego. I zbiegły oprawca, i pisarz polityczny kierują uwagę na te same składniki socjalistycznej rzeczywistości, ponieważ na tle szarzyzny i biedy powojennej Polaków — luksusowe apartamenty, jadła i stroje elity ludowej władzy wyglądają prowokacyjnie kontrastowo. Funkcjonują zatem jako materialne dowody niezgodności ideologii z praktyką sprawowania „demokratycznych” rządów.

Realia powieściowe wskazują na to, że autor „Towarzyszy...” nie jest akuratnym, dbałym o detale reportażystą z kraju przestępstw, lecz surowym i stronnictwym prokuratorem funkcjonariuszy zbrodniczego systemu

On przede wszystkim przekonuje czytelników, że ta formacja ustrojowa wygląda na koszmarną kpinę z teore-

Praga polskich poetów

Jacek Baluch

Wiersze okolicznościowe z natury rzeczy są narażone na banal. Popadają więc często wiersze z podróży, szczególnie rodzaj poezji okolicznościowej. Ich konwencjonalna opisowość pozbawiona jest najczęściej siły wypowiedzi lirycznej. Mało kto, stanowiący przed paryską Notre-Dame, potrafił się zdobyć na okrzyk: „Kto pomyślał tę przepaść i odrzucił ją w górę!”

W opisach wieży Eiffla czy nowojorskich drapaczy chmur, londyńskiej mgły lub wodospadu Niagara bardzo trudno zdobyć się na oryginalność, wyjść poza pocztówkową sztampe. Żeby spojrzeć na paryską katedrę tak, jak uczynił to Przybóś, trzeba być poetą opanowanym szczególną, obsesyjną wizją przestrzeni, w której góra unosi się wzniosła od odpadającego od ściany tatarnika, a poeta sięgając horyzontu stara się ściągnąć nowy widnokrąg.

Wydać się więc, że dobry wiersz okolicznościowy, oryginalny wiersz z podróży może powstać jedynie wówczas, kiedy napisany jest w ramach „własnej poetyki”.

Czytając wiersze polskich poetów o Pradze, myślę, że najlepsze z nich są właśnie te, w których twórcy pozostali wierni swojemu sposobowi pisania: Gałczyńskiego, Przybósia, Harasymowicza.

W wypadku wierszy Gałczyńskiego przyjdzie mi przy tym pozornie zaprzeczyć samemu sobie. Bo są to wiersze na swój sposób banalne: o moście Karola, portalu „Pod Dwoma Niedźwiadkami”, gościnnym domu poety Halasa, kinie na praskim lotnisku. Tylko że u Gałczyńskiego to nie raz; liryczny banal, zaprawiony nutą groteski, wydaje się wręcz żywiołem tego poety i dlatego punkt wiersza o najpiękniejszym praskim moście będzie dziś czytana z wyrozumiałym uśmiechem. Poeta, który „tu-li do ust jak cacko” trzy flagi: „polską, radziecką i czeskosłowacką”, jest tym samym Koclem Gałczyńskim, którego znamy z wierszy do córki pisanych w tych latach czy do motorniczego szczecińskiego tramwaju.

Pisane w tym samym okresie, pod koniec lat czterdziestych, wiersze Przybósia o Pradze są na swój sposób wymyślnie wykonstruowane i nawet inkrustowane czeszczyzną („vlny Vltavy oszlochały Karluv most”; vlny Vltavy to oczywiście fale Weltawy). Przybóś pozostał tu wierny nie tylko swojej poetyce, ale i sposobowi zwiedzania świata. W napisanym wówczas esejie stwierdził, że podróżuje nie tylko oko, ale i ucho, nurzając się w przestrzeni obcej mowy. Jej walory dźwiękowe starał się Przybóś zgłębić i nikt z Polaków nie napisał piękniej (i kompetentniej zarazem!) o deklamatorycznych wartościach języka czeskiego jak Przybóś.

Powstałe w wiele lat później wiersze Harasymowicza o Pradze, obszerny cykl w tomie „Polska weranda”, zrodziły się z kolei z zafascynowania poety barokiem. Nic więc dziwnego, że „musiał” on trafić do Pragi. 22 praskie wiersze Harasymowicza są największym zespołem wierszy polskiego poety poświęconym Pradze (po wojnie kilkunastowierszowy cykl poświęcił Pradze Janina Brzostowska, ale jej wiersze, przeciwstawiające miasto zburzonej Warszawie nie są poetycko odkrywcze).

W moim zbiorze polskich wierszy o Pradze znajdują się pojedyncze utwory Ważyka, Ilakowiczówny, ale miejsce szczególne ma wiersz Iwaszkiewicza.

Jako niewątpliwym koneser Iwaszkiewicz nie silił się na kolejny wiersz o moście Karola, ale w rzadziej odwiedzanej a wspanialej romańskiej kolegiacie św. Jerzego na Hradczanach odnalazł grób b. Młady ze srebrną pośmiertną maską. I ta maska stała się głównym elementem konstrukcyjnym wiersza, symbolem poetyckiej „maski”.

Osobne miejsce zajmuje Praga w twórczości Różewicza. Dla autora „Głodomora” i „Pulapki” jest ona miastem Franza Kafki. Ale oba te dramaty są dużo późniejsze niż pierwsze ślady podążania poety tropem Józefa K., opowiadanie o strahovskim kamieniołomie i cztery prozy zamieszczone w tomie „Rozmowa z księciem”, a wśród nich opowiadanie o praskim pomniku Stalina („Mgła”) i „Wigilia w obcym mieście”.

Są one refleksem drugiego, dłuższego pobytu poety w Pradze w 1957 roku (notabene pominiętego w książce Drewnowskiego o Różewiczu). Podczas ostatniego pobytu w Pradze, w roku ubiegłym, z okazji praskiej premiery „Białego małżeństwa”, Różewicz mówił o genezie tego wyjazdu do „obcego miasta”, o śmierci matki, która spowodowała, że nie mógł sobie wyobrazić Wigilii w gronie rodzinnym. Dotkniętemu osobistym nieszczęściem poeci i Polakowi, który przeżył październik 1956, Praga lat ówczesnych musiała się wydać podwójnie obca i pogrążona w kafkowskim świecie absurdu.

Przed laty zagadnąłem Tadeusza Różewicza w Krakowie o opowiadanie „Mgła”. Był mocno zdziwiony: — Skąd pan wie, że to Praga? Wszyscy myślą, że Paryż...

— Znam miasto kamiennych mostów, kaczorków z zielonymi lebkami w rzece, nad którą wznosi się szary kolos — odpowiedziałem. (Pomnik Stalina w Pradze zburzono dopiero jesienią 1962!)

W marcu 1991 na wieczorze w Ośrodku Polskiej Kultury w Pradze Tadeusz Różewicz czytał kafkowskie fragmenty z tomu „Plaskorzeźba”. Był to czwarty pobyt Różewicza w Pradze.

Camera Obscura

Stanisław Lem („Tygodnik Powszechny” nr 20) tytułuje swój felieton „O «ukierunkowywaniu» obelżywie” i twierdzi, że „sytuacji językowych, w których nie można «kierowaniem» zastąpić brzydkiego «ukierunkowywania» w ogóle nie ma”. Trudno się z tym zgodzić. „Ukierunkowywanie” jest rzeczywiście brzydkie i niezgrabne, ale wydaje się, że „kierować” i „ukierunkować” niezupełnie to samo znaczą: pierwsze oznacza czynność stałą odbywającą się podczas ruchu; drugie — tylko nadawanie temu ruchowi kierunku, przy czym najczęściej używane jest w sensie abstrakcyjnym (tzn. można ukierunko-

wać czyjeś wykształcenie, ale nie — jazdę samochodem).

W dyskusji na temat, czy Boy był kolaborantem, prof. Jacek Trznadel przytoczył fragment anonimowego artykułu z warszawskiej prasy podziemnej, w którym mowa jest o tym, że Boy wypisywał hymny pochwalne na cześć Stalina. To nieprawda. Jedyne jego teksty lwowski o treści politycznej, bardzo zresztą „unikowy”, to felieton „Stary i nowy świat” z „Czerwonego Sztandaru” (15 XII 1939) napisany w związku z wyborami do Rady Miejskiej. O Stalinie nie ma tam ani słowa.

I koń się potknie... Prof. Janusz Tazbir w pasjonującej książce o „Protokołach mędrców Syjonu” kilkakrotnie wymienia przedwojennego publicystę antysemickiego, ks. Trzeciaka, nadając mu imię Franciszek. Tymczasem brzmiało ono Stanisław; Franciszek to imię współczesnego aktora.

A w związku z esejem Baczki — Pisze on, że w „Roku 1984” sztuka reportażu scala się z wyobraźnią społeczną”. Z całym szacunkiem dla Profesora: doszukiwanie się w tej antytopii przyszłościowej cech reportażu jest z punktu widzenia genologii co najmniej dziwne. (hm)

DEKADA LITERACKA — dwutygodnik kulturalny. Wydawca: Wydawnictwo „Gazeta Krakowska”, Spółka z o.o. Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1 IV piętro. Redaguje zespół: Zbigniew Baran, Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Teresa Walas, Marta Wyka. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Anna Baranowa, Wacław Iwaniuk (Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Marek Rostworowski, Małgorzata Ruda, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska, Witold Turdza, Lucyna Walas — redaktor techniczny, Aleksander Pieniek — grafik.

Dyżur redakcji: poniedziałki, godz. 13-15, tel. 22-36-23; piątki, godzina 16.30-28, tel. 22-65-48.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo do skrótów. „Dekada” najpewniejsza w prenumeracie: 30 tys. kwartalna, 60 tys. półroczna. Wpłaty należy dokonywać na konto: Wydawnictwo „Gazeta Krakowska” — PKO I OM 35510-1804334-136.

ISSN 0867-4094



HYDE PARK czytelników

Wszystkie wiersze nadesłane przez licealistkę z Krakowa MALGORZATĘ SULARCZYK bardzo nam się podobały. Żalować należy jedynie, że „Hyde Park” może jednemu Autorowi zaofiarować tak niewiele miejsca. Po wakacjach prosimy o kontakt. Te wiersze zasługują na coś więcej!

Przed oberżą świętego Saveur

ulicą w Rennes chodzi
starsza pani — w kremowym płaszczu
pod strzymającym belkowaniem
bruk nakłuwa obcasem — laski
ostrym końcem —
trącona czubkiem buta —
krzyczę —

— mój szymon cyrenejczyk
poszedł wznosić mosty
nad nieporozumieniem —

pani kwitną pelargonie w oknach

— mnie deszcz

Chcę

chcę kupić ci pralkę

nasypać do niej proszku
wyznać miłość twoim podkoszulkom
po czym
wyprać je z codzienności
i rozwiesić siubarwnie
na cienutkich sznurach rzęs

☆☆☆

nocą
przystępuję do spowiedzi
z twego ciała

dniem
chciałabym w białej sukience
przyjąć ciebie
jak komunię świętą
panie nie jestem godna

NASZ CZAS

ogólnopolski konkurs na debiutancki tomik poetycki

Wojewódzki Dom Kultury w Toruniu ogłasza ogólnopolski konkurs — pod hasłem NASZ CZAS — na debiutancki tomik poetycki.

Udział w nim mogą wziąć autorzy, którzy do chwili rozstrzygnięcia konkursu nie opublikowali własnej książki poetyckiej, zarówno członkowie związków i stowarzyszeń twórczych, jak i autorzy nie zrzeszeni.

Na konkurs należy nadsyłać nie ogłoszone drukiem zestawy wierszy bądź poematy o objętości ok. 700 wersów — w trzech egzemplarzach maszynopisu.

Utwory konkursowe powinny być opatrzone godłem powtórzonym na zaklejonej kopercie zawierającej kartkę z imieniem, nazwiskiem, adresem oraz krótką notatkę biograficzną autora.

Nagrodą Główną Konkursu jest wydanie w formie książkowej zestawu wierszy bądź poematu uznanego przez jurorów za najlepszy spośród nadesłanych. Organizatorzy konkursu przewidują również nagrody i wyróżnienia pieniężne za poszczególne teksty, które złożyłyby się na antologię poetycką opublikowaną równoległe z książką debiutancką.

Prace konkursowe należy nadsyłać do 30 września 1992 roku pod adresem: Wojewódzki Dom Kultury, 87-100 Toruń, ul. Szpitalna 8, z dopiskiem na kopercie: „Konkurs na debiut poetycki”.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi do 15 października 1992 roku. Wyłoniona przez jury debiutancka książka poetycka zostanie wydana do końca br.